

# NIE CZYTAĆ O ZMIERZCHU!

II



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1983

MRS GASKELL

## OPOWIEŚĆ STAREJ NIANI

Wicie, moi drodzy, że wasza matka była jedynaczką i sierotą. I myślę, że słyszeliście, że wasz dziadek był duchownym w hrabstwie Westmorland, skąd ja pochodzę. Nie byłam jeszcze dorosła i chodziłam do wiejskiej szkoły, gdy pewnego dnia babka wasza przyszła do nauczycielki z zapytaniem, czy któraś z uczennic nie nadawałaby się na niańkę. Czułam się ogromnie dumna, kiedy pani mnie wywołała, i mówiła, że jestem solidną, uczciwą dziewczyną, że umiem szyć, a rodzice moi, choć biedni, są godni szacunku. Pomyślałam, że nic nie odpowiadałoby mi bardziej niż usługiwanie młodej ładnej pani, która czerwieniła się, tak jak i ja, gdy wspominała o dziecku mającym się narodzić, i tłumaczyła mi moje przy nim obowiązki. Widzę jednak, że mniej ciekawi was ta część opowiadania i czekacie, co będzie dalej, więc zaraz to powiem. Zostałam zgodzona i zamieszkałam na plebanii, zanim jeszcze panienka Rosamunda (właśnie to dziecko, a obecnie wasza matka) przyszła na świat. Oczywiście miałam z nią dość mało do czynienia, kiedy się urodziła, bo była stale w objęciach matki i spała przy niej całą noc. Byłam bardzo dumna, gdy czasami pani mnie ją powierzała.

Takiego dziecka nie było przedtem ani potem na świecie, choć i wy wszyscy byliście niebrzydzy. Żadne z was jednak nie miało tak miłego, ujmującego obejścia jak wasza mama. Odziedziczyła je po swojej matce, prawdziwej damie, pannie Furnivall, wnuczce lorda Furnivalla z hrabstwa Northumberland. Nie miała ona chyba rodzeństwa i wychowywała się w rodzinie mego pana, póki nie poślubiła waszego dziadka, który pełnił obowiązki plebana, a był synem kupca z Carlisle, ale człowiekiem miłym i delikatnym jak rzadko i oddanym całym sercem pracy w parafii, bardzo rozległej i rozproszonej szeroko wśród wzgórz Westmorland. Kiedy matka wasza, mała panienka Rosamunda, miała cztery czy pięć lat, jej rodzice zmarli oboje w przeciągu dwóch tygodni, jedno po drugim. Ach, jakie to było smutne! Moja śliczna młoda pani i ja z nią razem oczekiwałyśmy drugiego dziecka, kiedy pewnego dnia pan wrócił do domu z długiej drogi, przemoczony i utrudzony ogromnie, dostał febry i zmarł. A ona już nie przyszła do siebie, lecz żyła tylko do chwili, gdy urodziła martwe dzieciątko, które kazała położyć sobie na piersi, nim wyzionęła ducha. Na łożu śmierci prosiła mnie, bym nigdy nie opuściła panienki Rosamundy. Gdyby nawet nie wspomniała o tym, poszłabym za tym dzieckiem na koniec świata.

Zanim jeszcze obeschły nam łzy, zjawili się wykonawcy testamentu i opiekunowie dla załatwienia koniecznych spraw. Byli to: kuzyn mojej biednej młodej pani, lord Furnivall, i pan Esthwaithe, brat mego pana, kupiec z Manchesteru, obarczony liczną rodziną, wówczas mniej zamożny, niż stał się potem. Nie wiem, czy to oni tak uradzili, czy spowodował to list, który pani napisała na łożu śmierci do swego kuzyna, a mego pana, ale tak czy owak ustalono, że panienka Rosamunda ma jechać ze mną do posiadłości Furnivallów w hrabstwie Northumberland. Pan mój powiedział, że matka panienki życzyła sobie, by mieszkała u jego rodziny, on zaś nie ma nic przeciwko temu, bo w tak dużym domu jedna czy dwie osoby mniej lub więcej nie sprawiają różnicy. Więc choć wolałabym, żeby nie w ten sposób oglądano przyjazd mojej mądrej, ślicznej pieśczołki — która mogła być pociechą każdej rodziny, nawet nie wiem jak świetnej — cieszyłam się, że wszyscy mieszkańcy Doliny będą spoglądać na mnie z podziwem, gdy się dowiedzą, że mam zostać pokojówką młodej panienki w domu lorda Furnivalla.

Mylłam się jednak sądząc, że zamieszkamy w domu lorda. Okazało się, że rodzina opuściła Furnivall Manor House przed pięćdziesięciu laty lub nawet dawniej. Nie słyszałam nigdy, by moja biedna pani tam jeździła, choć wychowywała się w tej rodzinie. I martwiło

mnie to, bo pragnęłam, by młodość panienki Rosamundy upłynęła tam, gdzie przebywała jej matka.

Lokaj mego pana, któremu zadałam tyle pytań, na ile się odważyłam, powiedział, że Manor House leży u stóp wzgórz Cumberland, że to okazały dom i że mieszka tam z kilkorgiem służby stara panna Furnivall, babka cioteczna mego pana. Jest to bardzo zdrowa miejscowość, więc pan uznał, że panienka Rosamunda będzie się tam czuła dobrze, a jej pobyt w tym domu może rozerwie jego starą babkę.

Kazał mi przygotować rzeczy panienki na określony dzień. Jak podobno wszyscy lordowie Furnivall był to surowy, dumny mężczyzna. Nie wypowiadał nigdy słowa więcej, niż było konieczne. Ludzie mówili, że kochał moją młodą panią, ale ona wiedząc, że jego ojciec będzie się sprzeciwiał, nie chciała słyszeć o małżeństwie z nim i wyszła za pana Estwaithe'a. Nie wiem jednak dobrze, jak to było. On w każdym razie nigdy się nie ożenił. Nie zwracał specjalnej uwagi na panienkę Rosamundę, co robiłby chyba, gdyby mu zależało na jej zmarłej matce. Wysłał z nami do Manor House swego lokaja, nakazując mu, by spotkał się z nim tegoż dnia wieczorem w Newcastle. Nie było więc wiele czasu na to, byśmy zapoznały się za jego pośrednictwem z nieznanymi ludźmi, bo wkrótce i on nas pożegnał. Zostałyśmy same. dwie młode istoty (nie miałam skończonych osiemnastu lat) w wielkim starym dworze.

Wydaje mi się, że to było wczoraj, jak tam jechałyśmy. Opuściłyśmy bardzo wcześnie naszą drogą plebanię, zalewając się łzami, jakby nam serca miały pęknąć, choć czekała nas podróż w karecie mego pana, która kiedyś wydawała mi się wspaniała. Minęło już dawno południe tego wrześniowego dnia, gdy zatrzymaliśmy się po raz ostatni dla zmiany koni w małym górniczym miasteczku. Panienka Rosamunda usnęła, lecz pan Henry kazał ją obudzić, żeby mogła zobaczyć park i rezydencję Manor House, kiedy będziemy do niej podjeżdżać. Żał mi jej było, ale spełniłam rozkaz lokaja w strachu, że poskarży na mnie panu. Miasteczko, a nawet wieś znikły już daleko za nami. Wjechaliśmy w obręb dużego dzikiego parku, niepodobnego do parków na północy kraju, pełnego skał, wśród których słychać było szmer wody. Rosły tam sękaty, kolczaste drzewa i stare dęby, zbielałe i łuszczące się ze starości.

Droga pięła się w górę ze dwie mile, aż wreszcie ujrzałyśmy ogromny, okazały dom wśród drzew, rosnących tak blisko niego, że w paru miejscach poruszane wiatrem gałęzie uderzały o ściany. Niektóre olbrzymy leżały powalone na ziemi. Wyglądało na to, że nikt nie utrzymuje tu porządku, nie obcina gałęzi ani nie gracieje zarosłej mchem alei. Tylko front domu był czysty. Na dużym owalnym podjeździe nie widać było ani jednego chwastu. Poprzycinane drzewa i pnącze nie zarastały ścian o licznych oknach. Dorn miał dwa boczne skrzydła o własnych frontach. Choć zaniedbany, był większy, niż oczekiwałam. Za nim wznosiły się nagie i puste wzgórza. Po lewej stronie, patrząc na dom od frontu, dostrzegłam niewielki staroświecki ogród kwiatowy. Jak się potem przekonałam, wchodziło się do niego przez drzwi w zachodnim skrzydle. Został założony na miejscu gęstego mrocznego lasu przez którąś ze starych pań Furnivall. Gałęzie drzew leśnych rozrosły się jednak znowu i zacięniały to miejsce, więc kwitło tam wtedy bardzo mało kwiatów.

Kiedy podjechaliśmy przed wielkie frontowe drzwi i weszliśmy do hallu, wydawało mi się, że się w nim zgubimy — taki był duży, rozległy i wspaniały. Ze środka sufitu zwisał świecznik z brązu. Nigdy dotąd takiego nie widziałam, wpatrywałam się więc w niego z podziwem. W jednym rogu hallu mieścił się kominek wielkości bocznych ścian chat w mojej wsi, a obok niego stojaki na drzewo i masywne kozły do podtrzymywania palących się kłód. Przy kominku stały ciężkie staroświeckie kanapy. W przeciwległym końcu, po lewej stronie od wejścia, to znaczy po zachodniej, wbudowane były w ścianę organy, tak ogromne, że wypełniały większą część tej ściany. Za nimi, po tej samej stronie, znajdowały się drzwi. I dwoje drzwi, po obu stronach kominka, prowadziło do wschodniego skrzydła. Nigdy tam nie weszłam w czasie całego mego pobytu w tym domu, nie mogę więc wam powiedzieć, co się za nimi znajdowało.

Nadchodził wieczór i hall, w którym nie palił się ogień, był ciemny i mroczny, ale nie pozostaliśmy tam długo. Stary lokaj, który nam otworzył, skłonił się przed panem Henrym i poprowadził nas przez drzwi znajdujące się obok organów i przez kilka mniejszych halli i korytarzy do salonu w zachodniej części domu, gdzie, jak zapowiedział, czeka panna Furnivall. Biedna mała panienka Rosamunda trzymała mnie mocno za rękę, jakby czuła się zagubiona w tym wielkim domu. Ja sama nie czułam się lepiej. Zachodni salon przedstawiał się bardzo miło, płonął tam na kominku ogień i stało dużo solidnych wygodnych mebli. Panna Furnivall była to dama zbliżająca się do osiemdziesiątki, jak sądzę, ale nie wiem na pewno. Wysoka i chuda, twarz miała pokrytą siecią tak cieniutkich zmarszczek, jakby je wyrysowano igłą. Oczy patrzyły bystro, by nadrobić pewnie głuchotę, tak silną, że musiała używać trąbki.

Siedziała przy niej, zajęta wraz z nią haftowaniem dużego gobelinu, pani Stark, jej pokojowa i towarzyszka, prawie w równym z nią wieku. Mieszkała z panną Furnivall od czasów ich wspólnej młodości i wydawała się przyjaciółką raczej niż służącą. Zimna, szara, kamienna wyglądała tak, jakby nigdy nie kochała nikogo i o nikogo nie dbała. Darzyła miłością chyba tylko swoją panią. Z powodu jej głuchoty pani Stark traktowała ją prawie jak dziecko. Pan Henry przekazał pozdrowienia od mojego pana, a potem ukłonem pożegnał wszystkich — nie zważając na wyciągniętą rączkę mojej słodkiej panienki Rosamundy — i zostawił nas. Stałyśmy tam, a dwie panie lustrowały nas przez okulary.

Ucieszyłam się bardzo, gdy zadzwoniły na starego lokaja, który nas wprowadził, i poleciły mu, by wskazał nam nasze pokoje. Wyszłyśmy z tego dużego salonu do mniejszego i dalej szłyśmy po ogromnych schodach i przez szeroką galerię — która była czymś w rodzaju biblioteki z książkami po jednej stronie, a oknami i biurkami po drugiej — aż dotarłyśmy do naszych pokoi, które jak się dowiedziałam bez żalu, znajdowały się nad kuchnią. Zaczynałam bowiem przypuszczać, że będę się czuła samotna w tym pustym domu. W dawnym dziecięcym pokoju, zajmowanym przed laty kolejno przez małych lordów i małe damy, płonął wesoło na kominku ogień i gotowała się w imbryku woda, a na stole stała zastawa do herbaty. Za tym pokojem znajdowała się dziecienna sypialnia, gdzie obok łóżeczka dla panienki Rosamundy stało moje łóżko. Stary James zawołał swoją żonę Dorothy, aby się z nami przywitała. Oboje byli tacy mili i gościnni, że stopniowo poczułyśmy się z panienką Rosamundą jak w domu. Zanim skończyłyśmy pić herbatę, siedziała już na kolanach Dorothy i szczebiotała, mieląc języczkiem tak szybko, jak tylko mogła.

Dowiedziałam się wkrótce, że Dorothy pochodzi z hrabstwa Westmorland, co nas poniekąd wiązało. Trudno o miłszych ludzi niż stary James i jego żona. James przeżył prawie całe życie w rodzinie mojego pana i uważał, że nie ma świetniejszej rodziny. Patrzył nawet trochę z góry na swoją żonę, bo do czasu, gdy ją poślubił, mieszkała w wiejskiej chacie. Był jednak bardzo do niej przywiązany. Do ciężkiej pracy usługiwała im służąca, na którą wołali Agnes. Ona, ja, James, Dorothy oraz panna Furnivall i pani Stark tworzyliśmy niejako rodzinę, nie wspominając o mojej kochanej panience Rosamundzie. Zastanawiałam się nieraz, co robili, zanim przyjechała, tak bardzo teraz o nią się troszczono. Kuchnia i salon w równym stopniu. Surowa, smutna panna Furnivall i chłodna pani Stark wydawały się zadowolone, gdy wbiegała roztrzepotana jak ptaszek, a potem bawiła się i psociła, stale szepcząc i paplając radośnie. Jestem pewna, że często żałowały, kiedy wybiegała do kuchni, lecz były zbyt dumne, by poprosić ją, aby z nimi została, i trochę zdziwione jej pospolitym gustem, choć oczywiście, jak powiedziała pani Stark, nie ma się czemu dziwić, pamiętając o pochodzeniu jej ojca.

Duży stary, źle rozplanowany dom był dla panienki Rosamundy miejscem wspaniałych odkryć. Zwiedzała go, a ja chodziłam krok w krok za nią wszędzie z wyjątkiem wschodniego skrzydła, które było stale zamknięte i gdzie nigdy nie przychodziło nam na myśl się zapuszczać. W części zachodniej i północnej było wiele ładnych pokoi, pełnych przedmiotów będących dla nas osobliwością, choć może nie budziły podziwu ludzi, którzy więcej w życiu widzieli. Okna zasłaniały rozchwiane gałęzie i bluszcz, który je zarastał. Lecz w zielonkawym

cieniu mogliśmy oglądać stare chińskie wazy, rzeźbione z kości słoniowej szkatułki, duże ciężkie książki, a nade wszystko stare portrety.

Pamiętam, że jednego razu moja pieszcotka poprosiła, żeby Dorothy poszła z nami i objaśniła, kogo te obrazy przedstawiają. Wszystkie były portretami członków rodziny mego pana, choć Dorothy nie potrafiła powiedzieć, jak się nazywali. Zwiedziłyśmy już większość pokoi, kiedy dotarłyśmy do dawnego paradnego salonu nad hallem, gdzie wisiał portret panny Furnivall lub — jak ją w owych czasach nazywano — panny Grace, bo była młodszą siostrą w rodzinie. Ach, jaka musiała być piękna! Ale miała wzrok tak nieruchomy i dumny i tyle pogardy w pięknych oczach, a brwi leciutko uniesione, jakby się dziwiła, że ktoś śmie na nią patrzeć. I wargę pogardliwie wyduła, gdy stałyśmy tam w nią wpatrzone. Ubrana była w suknię, jakiej w życiu nie widziałam, według mody z czasów jej młodości. Kapelusz z jakiegoś białego, miękkiego materiału, zsunięty nieco na czoło, ozdobiony był z jednej strony pięknymi piórami. Suknia z niebieskiego aksamitu miała z przodu głęboki dekolt.

— Coś takiego! — powiedziałam, gdy się jej napatrzyłam. — Ciało niszczuje, jak mówią. Ale patrząc teraz na pannę Furnivall, kto by przypuścił, że była tak skończoną pięknoscią?

— Tak — odrzekła Dorothy. — Niestety, ludzie się zmieniają. Lecz o ile prawdą jest to, co mówił ojciec mego pana, starsza panna Furnivall była jeszcze piękniejsza. Jej portret jest gdzieś tutaj. Jeśli wam go pokażę, nie wolno ci wspomnieć nigdy słowem, nawet Jamesowi, że go widziałas. Czy mała panienka potrafi utrzymać język za zębami?

Nie byłam pewna mego kochanego, szczerego, prawdomównego dziecka, więc powiedziałam jej, żeby się schowała, a ja będę szukać. A potem pomogłam Dorothy odwrócić ciężki obraz, który nie wisiał jak inne, ale stał odwrócony, oparty o ścianę. Namalowana na nim kobieta przewyższała pannę Grace urodą, a chyba także wyrazem pogardliwej dumy, choć trudno w tej sprawie zdecydować się na wybór. Mogłabym wpatrywać się w nią i z godzinę, ale Dorothy, przestraszona, że mi pokazała ten portret, odwróciła go znów do ściany i kazała biec szukać panienki Rosamundy, bo w tym domu są paskudne miejsca, gdzie dziecko nie powinno chodzić. Byłam odważną, żywą dziewczyną i nie bardzo przejęłam się tym, co powiedziała stara kobieta, a że lubiłam zabawę w chowanego, jak wszystkie dzieci w naszej parafii, pobiegłam szukać mojej małej.

Nadeszła zima, dni stawały się coraz krótsze. Czasami byłam prawie pewna, że slysze, jak ktoś gra na wielkich organach w hallu. Nie każdego wieczoru to slyszałam, ale bardzo często, zwykle wtedy, gdy siedziałam cicho przy panience Rosamundzie, która leżała już w łódeczku. Dochodził mnie wtedy z oddali huczący, wzbierający na sile dźwięk. Pierwszego wieczoru, kiedy zesłam do kuchni na kolację, spytałam Dorothy, kto to grał, a James odpowiedział krótko, że jestem głuptaską, biorąc zawrodozenie wiatru w gałęziach drzew za muzykę. Spozrzegłam jednak, że Dorothy popatrzyła na niego z przestachem, a Bessy, dziewczyna kuchenna, mruknęła coś i poblądła. Widziałam, że nie podobało im się moje pytanie, postanowiłam więc milczeć, póki nie będziemy same z Dorothy. Liczyłam, że wtedy sporo zdołam od niej się dowiedzieć.

Następnego dnia zaczęłam na sposobność i przymilnie spytałam ją, kto gra na organach, bo wiedziałam dobrze, że to organy, a nie wiatr, mimo że przy Jamesie zamilkłam. Dorothy została widać pouczona, nie udało mi się nigdy wydobyć z niej słowa. Spróbowałam czegoś się dowiedzieć od Bessy, choć zawsze trochę wobec niej zadzierałam nosa, gdyż czułam się równa z Dorothy i Jamesem, a ona była prawie ich sługą. Odpowiedziała, że nie wolno mi nigdy, przenigdy pisać na ten temat słówka. To bardzo dziwna muzyka, ona też ją wiele razy slyszała, przeważnie w zimowe noce i przed burzą. Ludzie mówią, że na tych organach w hallu gra stary lord, tak jak grał za życia. Ale kim był ten lord i dlaczego gra, i czemu szczególnie w zimowe burzliwe wieczory, nie potrafiła czy nie chciała mi powiedzieć. Jak powiedziałam już, byłam odważną dziewczyną. I uważałam, że miło jest czasem posłuchać

wspaniałej muzyki, rozbrzmiewającej w domu, obojętne kto gra na organach. Bo zagłuszała ona szum wichury, zawodziła tęsknie lub triumfowała radośnie, jak żywa istota, a potem prawie całkiem cichła. Zawsze jednak były to jakieś melodie, więc uważałam za nonsens nazywanie tego głosem wiatru.

Początkowo myślałam, że to może gra panna Furnivall, o czym Bessy nie wie. Lecz pewnego dnia, będąc w hallu sama, otworzyłam organy i obejrzałam je dokładnie, jak kiedyś taki sam instrument w Grosthwaite Church. Zobaczyłam, że wszystko w środku jest połamane i zniszczone, choć na zewnątrz organy wyglądały pięknie i okazałe. Było właśnie południe, ale ciarki mnie przeszły, zamknęłam instrument i uciekłam szybko do jasnego pokoju dzieciennego. Przez jakiś czas potem nie lubiłam słuchać tej muzyki, tak samo jak James i Dorothy.

A tymczasem panienska Rosamunda stawała się coraz bardziej przymilna. Stare panie lubiły jadać z nią swój wczesny obiad. James stał za krzesłem panny Furnivall, a ja za krzesłem panienski, bardzo ceremonialnie. Po obiedzie bawiła się w kącie dużej jadalni cichutko jak myszka, panna Furnivall spała, a ja jadłam obiad w kuchni. Z radością przychodziła jednak potem do mnie do dzieciennego pokoju, bo — jak mówiła — panna Furnivall jest bardzo smutna, a pani Stark taka nudna. My dwie byłyśmy za to wesole. Z czasem nie zważałam już na tę niesamowitą, toczącą się jak grzmot po domu muzykę, która nikomu nie szkodziła, choć nie było wiadomo, skąd pochodzi.

Tamta zima była bardzo mroźna. Mrozy zaczęły się w połowie października i trwały przez wiele tygodni. Pamiętam jeden dzień, gdy w czasie obiadu panna Furnivall podniosła smutne, senne oczy i jakimś znaczącym tonem powiedziała do pani Stark:

— Obawiam się, że będziemy mieli straszną zimę.

Pani Stark udawa, że nie usłyszała, i bardzo głośno zaczęła mówić o czym innym. Moja panienska i ja nie bałyśmy się wcale mrozu. Póki było sucho, wspinałyśmy się na skały za domem, chodziłyśmy na wzgórze, nagie i puste, i ściagałyśmy się wdychając ostre świeże powietrze. A raz zbiegłyśmy nieznaną ścieżką, która doprowadziła nas do dwóch sękatych dębów skalnych, które rosły w połowie zbocza po wschodniej stronie domu.

Dnie stawały się coraz krótsze. Stary lord — jeśli to on — grał coraz głośniej i coraz smutniej. Pewnego niedzielnego popołudnia — był to chyba koniec listopada — poprosiłam Dorothy, żeby zajęła się panienką, kiedy po drzemce panny Furnivall wyjdzie z salonu, bo było za zimno, żeby ją zabrać do kościoła, dokąd chciałam pójść. Dorothy chętnie obiecała zrobić to, o co prosiłam, a tak lubiła dziewczynkę, iż uważałam, że wszystko będzie dobrze. Wyruszyłyśmy żywo z Bessy, chociaż ciemne zachmurzone niebo zwisało tuż nad ziemią pokrytą białym całunem, jakby noc nigdy całkowicie się nie kończyła. Powietrze, choć bezwietrzne, było przenikliwie ostre.

— Śnieg będzie padał — powiedziała Bessy.

I rzeczywiście, gdy jeszcze byłyśmy w kościele, zaczął padać dużymi płatkami, tak gęstymi, że prawie zaciemniły okna. Przestał padać, zanim opuściłyśmy kościół, ale gdy wracałyśmy do domu, leżał nam pod nogami miękki, gęsty, głęboki. Wszedł księżyc i wydało mi się, że jest jaśniej — częściowo z powodu tego księżycy, częściowo z powodu śniegu o olśniewającej bieli — niż wtedy między drugą a trzecią, gdy szłyśmy do kościoła. Nie mówiłam wam jeszcze, że panna Furnivall i pani Stark nigdy tam nie chodziły. Odczytywały razem modlitwy z modlitewnika we właściwy im posępny sposób. Niedziela wydawała im się chyba bardzo długa, tkwiły nieprzerwanie nad haftem.

Weszłam do kuchni, by zabrać panienkę Rosamundę na górę, i nie zdziwiłam się wcale, gdy stara Dorothy powiedziała mi, że panie zatrzymały dziewczynkę i nie zesłała do kuchni, jak jej nakazałam, gdy ją zmęczy grzeczne zachowanie w salonie. Rozebrałam się i poszłam po nią, by zabrać ją na kolację w dzieciennym pokoju. Kiedy jednak weszłam do salonu, siedziały tam cicho i spokojnie obie stare panie, co jakiś czas rzucając słowo, ale nic nie wskazywało na to, że w ich pobliżu znajduje się żywa, wesola panienska. Pomyślałam, że może scho-

wała się dla żartu przede mną — miała taki zwyczaj — i namówiła panie, by udawały, że nic o niej nie wiedzą. Chodziłam więc cicho, zaglądając to pod kanapę, to pod fotel, udając, że boję się okropnie, iż jej nie znajdę.

— O co chodzi, Hester? — spytała ostro pani Stark.

Nie wiem, czy panna Furnivall zauważyła moją obecność w pokoju, bo jak wam mówiłam, była mocno głucha. Siedziała spokojnie, wpatrując się leniwie w ogień. Na twarzy jej, jak zawsze, malował się wyraz rozpacz.

— Szukam mojej małej Rosy-Posy — odpowiedziałam, wciąż myśląc, że dziewczynka jest w salonie, niedaleko mnie, choć jej nie dostrzegam.

— Panienki Rosamundy nie ma tutaj — rzekła pani Stark. — Wyszła do Dorothy już ponad godzinę temu. — Odwróciła się i też wpatrzyła w ogień.

Serce zamarło we mnie na te słowa. Pożałowałam, że zostawiłam moją maleńką. Wróciłam do Dorothy i powiedziałam jej, czego się dowiedziałam od pani Stark. James wyszedł na cały dzień, ale my trzy wzięłyśmy świece i szukałyśmy najpierw w dzieciennym pokoju, a potem po całym domu, nawołując i błagając panienkę Rosamundę, żeby wyszła z kryjówki i oszczędziła nam tego śmiertelnego strachu. Nie doczekaliśmy się jednak żadnej odpowiedzi, nie usłyszaliśmy żadnego dźwięku.

— A może weszła do wschodniego skrzydła i tam się schowała? — spytałam w końcu.

Dorothy odrzekła, że to niemożliwe, bo ona sama nigdy tam nie była. Drzwi do tej części domu są zawsze zamknięte, a klucze od nich ma chyba lokaj mojego pana. W każdym razie ani ona, ani James nawet ich nie widzieli. Powiedziałam, że wrócę i sprawdzę, czy mała nie ukryła się jednak bez wiedzy starych pań w salonie, a jeśli ją tam znajdę, dam jej klapsa za strach, jakiego mi napędziła. Nie zamierzałam jednak tego zrobić. Wróciłam do salonu i oznajmiłam pani Stark, że nie możemy panienki nigdzie znaleźć, i poprosiłam o pozwolenie poszukania za wszystkimi meblami, przypuszczając, że usnęła może w jakimś ciepłym kąciuku. Niestety! Nawet panna Furnivall wstała i szukała, cała drżąc, ale panienki Rosamundy nigdzie nie było. Potem szukaliśmy wszyscy po całym domu, zaglądając w miejsca już przedtem zbadane. Na próżno. Panna Furnivall trzęsła się tak, że pani Stark zabrała ją z powrotem do ciepłego salonu, ale dopiero wtedy, gdy obiecałam, że przyprowadzę do nich dziewczynkę, jak tylko się znajdzie. Zaczęłam jednak się obawiać, że to nigdy nie nastąpi. Postanowiłam jeszcze poszukać przed domem na dużym dziedzińcu zasypanym śniegiem.

Znajdując się na piętrze wyjrzałam przez okno. Księżyc świecił tak jasno, że dostrzegłam wyraźnie ślady dwóch małych stopek biegnące od drzwi frontowych i skręcające za róg wschodniego skrzydła domu. Sama nie wiem, jak znalazłam się na dole i z wysiłkiem otworzyłam duże, ciężkie drzwi hallu. Nie mając na sobie płaszcza, narzuciłam dół spódnicy na głowę i wybiegłam. Skręciłam za róg domu i na śniegu ujrzałam ciemny cień. Znalazszy się znów w blasku księżyca rozróżniłam małe ślady idące w górę w kierunku wzgórz. Było tak strasznie zimno, że lodowate powietrze zdierało mi prawie skórę z twarzy, gdy biegłam płacząc na myśl, jak moja gołąbka musi być wyczerpana i przestraszona. W oddali majaczyły już skalne dęby, kiedy spostrzegłam schodzącego ze wzgórza pasterza, który niósł coś owiniętego w koc. Krzyknął do mnie pytając, czy nie zgubiłam dziecka. A gdy nie mogłam z płaczu wydobyć głosu, podszedł bliżej i wtedy zobaczyłam moją dziewczynkę, która leżała mu na rękach cicha, sztywna i biała, jak nieżywa. Opowiedział, że poszedł na wzgórze, by spędzić owce, zanim zapadnie mroźna noc, i pod dębami (ciemne ślady prowadziły na wzgórze, na którym nie było innych drzew) znalazł moją panienkę — moją gołąbkę, moją królową, moje kochanie — zeszywniała z zimna, pogrążoną w strasznym śnie, w którym się zamarza.

Jaka radość i jakie łzy, gdy wzięłam ją znów na ręce! Bo nie pozwoliłam mu nieść panienki Rosamundy. Trzymałam ją razem z kocem w ramionach, tuliłam do ciepłej szyi i serca i czułam, jak życie powraca z wolna w małe ciało. Była jednak wciąż nieprzytomna, kiedy

doszłam z nią do domu, a ja nie mogłam wymówić słowa.

— Przynieście butelkę z gorącą wodą do łóżka — powiedziałam w kuchni.

Zaniosłam ją na górę i zaczęłam rozbierać w dzieciennym pokoju przy palącym się kominku, na którym Bessy utrzymała ogień. Przemawiałam do mego jagniątka wszelkimi czułościami i żartobliwymi słowami, jakie przychodziły mi na myśl, choć wzrok przesłaniały mi łzy. Aż wreszcie otworzyła duże niebieskie oczka. Wtedy położyłam ją do ciepłego łóżka i posłałam Dorothy do panny Furnivall, aby powiedziała jej, że już wszystko dobrze. Postanowiłam siedzieć przy mojej pieszczołce przez całą noc. Zapadła w spokojny sen, gdy tylko jej śliczna główka dotknęła poduszki, a ja czuwałam przy niej do rana. Obudziła się wesoła i pogodna.

Opowiedziała, że chciała pójść do Dorothy, bo obie panie zasnęły i w salonie było bardzo nudno. Idąc przez przedpokój w zachodniej części domu zobaczyła przez okno, że śnieg pada i pada miękko, równo. Chcąc obejrzyć ten biały dywan skrzyła do dużego hallu, a gdy się zbliżyła do okna, zobaczyła na podjeździe lśniący, puszysty śnieg. I stojąc tam ujrzała małą dziewczynkę, młodszą od siebie, „ale śliczną”, dodała moja dziewczynka, „i ta dziewczynka skinęła na mnie, żebym wyszła. Była taka ładna i miła, że nie mogłam jej nie posłuchać”. Dziewczynka wzięła ją za rękę, wyszły razem i skrzyły za wschodni róg domu.

— Jesteś niegrzeczna opowiadając takie kłamstwa — rzekłam. — Gdyby to słyszała twoja dobra mama, która jest w niebie i która nigdy w życiu nie skłamała, nie wiem, co by powiedziała — a myślę, że słyszy — że jej mała Rosamunda kłamie!

— Naprawdę, Hester — szlochała dziewczynka. — Ja mówię prawdę!

— Nie opowiadaj mi takich bredni — powiedziałam surowo. — Szłam po twoich śladach na śniegu i widziałam tylko te ślady. Gdybyś trzymała za rękę drugą dziewczynkę, to na zboczu widoczne byłyby i jej ślady.

— Co ja poradzę, że ich nie było. Hester, kochana Hester — szlochała. — Nie patrzyłam na jej nogi, trzymała mnie mocno za rękę i ścisła ją w swojej, a było tak zimno. Zaprowadziła mnie ścieżką po zboczu do dębów. A tam ujrzałam jakąś panią, która płakała. Kiedy mnie zobaczyła, przestała płakać i uśmiechnęła się, i wzięła mnie na kolana, i zaczęła kołysać do snu. I to wszystko, Hester, ale to prawda i moja mama wie, że to prawda — dodała zanosząc się od płaczu.

Pomyślałam, że mała ma gorączkę, i udałam, że jej wierzę, gdy opowiadała dalej, ciągle w kółko to samo. W końcu Dorothy zapukała do drzwi przynosząc śniadanie dla panienki. Powiedziała mi, że panie starsze są na dole w jadalni i chcą ze mną mówić. Zajrzały wieczorem do dzieciennego sypialni, ale Rosamunda już spała. Popatrzyły więc tylko na nią i o nic nie pytały.

Dostanę burę, myślałam idąc północną galerią. Ale przecież zostawiłam ją pod ich opieką. To ich wina, że się wymknęła nie wiadomo kiedy, nie pilnowana. Weszłam więc śmiało i wszystko opowiedziałam panie Furnivall krzycząc jej w ucho. Lecz gdy wspomniałam o drugiej dziewczynce na śniegu, która namawiała i kusiała Rosamundę, by wyszła z domu, i zmusiła ją do wejścia na wzgórze do dumnej pięknej pani siedzącej pod dębem, stara dama wzniosła w górę suche starcze ręce i wykrzyknęła:

— O, Boże, przebac, ulituj się!

Pani Stark chwyciła ją dość szorstko, jak mi się wydawało, lecz ona nie zważała na nic i powiedziała do mnie stanowczym, ostrzegawczym tonem:

— Hester, nie pozwól jej zbliżyć się do tego dziecka! Sprowadzi na nią śmierć! To złe dziecko! Powiedz Rosamundzie, że to złe, niegrzeczne dziecko! — Pani Stark wyprawiła mnie spieszenie z pokoju. Wyszłam z przyjemnością, a panna Furnivall nie przestała krzyczeć: — Ulituj się! Czyż nigdy nie wybacysz? Już tyle lat...

Czułam po tym wszystkim wielki niepokój. Nie odważyłam się nigdy zostawić panienki Rosamundy samej, ani w dzień, ani w nocy, w obawie, że mogłaby znowu się wymknąć, gdy jej coś przyjdzie do głowy. Tym bardziej że zrozumiałam z tego wszystkiego, iż panna



Furnivall jest niespełna rozumu, i obawiałam się, czy coś takiego (to mogło być rodzinne, rozumiecie) nie grozi mojej ślicznotce. A srogi mróz nie ustępował. I w każdą bardziej burzliwą noc, wśród gwałtownych podmuchów wiatru słyszeliśmy, jak stary lord grał na organach. Czy to był on, czy nie on, gdziekolwiek ruszyła się panienka Rosamunda, szłam za nią, bo moja miłość do tej bezradnej sierotki była silniejsza od strachu, jaki budziła teraz ta okropna muzyka. Poza tym do mnie należało starać się o to, by była zawsze wesola i szczęśliwa, jak powinno być dziecko w jej wieku. Bawiłyśmy się więc razem i wędrowaliśmy to tu, to tam, wszędzie. Bo nigdy nie odważyłam się spuścić jej z oka w tym ogromnym starym domu. Pewnego popołudnia, krótko przed Bożym Narodzeniem, grałyśmy w bilard przy dużym bilardowym stole w hallu. Nie umiałyśmy grać, ale ona lubiła toczyć rączkami gładkie kościane kule, a ja lubiłam robić wszystko to, co ona. I wkrótce zanim się spostrzegłyśmy, zapadł w domu mrok, choć na dworze było jeszcze jasno. Zamierzałam właśnie zabrać panienkę Rosamundę do dziecinnego pokoju, kiedy nagle wykrzyknęła:

— Patrz, Hester! To moja biedna mała dziewczynka tam na śniegu!

Obróciłam się do okna i zobaczyłam bez żadnych wątpliwości dziewczynkę, mniejszą od panienki Rosamundy, ubraną zupełnie nieodpowiednio na tak zimną noc na dworze, która płakała i biła piąstkami w szyby, jakby chciała, by ją wpuścić do domu. Wyglądało na to, że szlochała i zawodziła, aż panienka Rosamunda nie mogła znieść tego dłużej i pobiegła do drzwi, chcąc je otworzyć. Nagle tuż obok nas wielkie organy zahuczały tak donośnie, że zadrżałam i przypomniałam sobie równocześnie, że nawet wśród ciszy tej mroźnej nocy nie słyszałam odgłosu uderzeń w szyby małych rączek, choć dziecinna zjawa zdawała się walić w nie z całej siły. I choć widziałam, jak zawodziła i płakała, do uszu moich nie dotarł żaden dźwięk. Nie wiem zresztą, czy przypomniałam sobie to wszystko w tamtej chwili. Muzyka ogłuszyła mnie w sposób przerażający. Wiem tylko, że schwyciłam panienkę Rosamundę, zanim zdążyła otworzyć drzwi na dwór, przycisnęłam ją mocno do siebie i wyniosłam wierzgającą i krzyczącą do dużej jasnej kuchni, gdzie Dorothy i Agnes zajęte były przyrządzaniem ciasta z jabłkami.

— Co się stało mojej ptaszynce? — zawołała Dorothy, gdy wniosłam panienkę, która szlochała tak, jakby serce miało jej pęknąć.

— Hester nie pozwoliła mi otworzyć drzwi, żeby wpuścić moją małą dziewczynkę. Ona umrze, jeśli zostanie przez całą noc na wzgórzach. Okrutna, niedobra Hester! — dodała bijąc mnie.

Mogłaby bić jeszcze mocniej, a nie puściłabym jej, bo ujrzałam wyraz obłądnego przerażenia na twarzy Dorothy i na ten widok krew ścięła mi się w żyłach.

— Zamknij i zarygluj mocno kuchenne drzwi wyjściowe — rozkazała Dorothy Agnes. Nic więcej nie powiedziała. Dała mi rodzynek i migdałów, żeby uspokoić panienkę Rosamundę, ale ona płakała wciąż z litości nad małą dziewczynką na śniegu i nie chciała tknąć łakoci. Dziękowałam Bogu, gdy wyczerpana płaczem usnęła. Wymknęłam się wtedy na dół i powiedziałam Dorothy, że powzięłam decyzję. Zawiozę dziewczuszkę do domu mego ojca w Applethwaite, gdzie żyjemy skromnie, ale w spokoju. Dość najadłam się strachu słuchając gry starego lorda. Ale teraz, kiedy na własne oczy widziałam to żalące się dziecko, ubrane tak, jak nie mogło być ubrane żadne dziecko w okolicy, bijące piąstkami w szyby zupełnie bezdźwięcznie, z tajemniczą raną na prawym ramieniu, i gdy panienka Rosamunda rozpoznała w tym dziecku zjawę, która niemal o śmierć ją przyprawiła (Dorothy wiedziała, że tak było) — nie zostanę tu dłużej.

Widziałam, że Dorothy mieni się na twarzy. Kiedy skończyłam mówić, powiedziała, że nie sądzi, by mi się udało zabrać ze sobą panienkę, bo to wychowanka mego pana i nie mam żadnych nad nią praw. I zapytała, czy opuszczę dziecko, które tak kocham; tylko z powodu dźwięków i widoków, które nie mogą mi zaszkodzić, i do których wszyscy musieli przywyknąć. Drżałam z gniewu. Oświadczyłam, że dobrze jej mówić, gdy wie, co oznaczają te zjawy

i hałasy, i miała może coś do czynienia z tym dzieckiem-widmem, kiedy żyło. I tak jej wymyślałam, że w końcu opowiedziała mi wszystko, co wiedziała, a potem żałowałam, że to zrobiła, bo się bałam jeszcze bardziej.

Dorothy słyszała tę historię od starych sąsiadów, którzy żyli w czasach, gdy po raz pierwszy wyszła za mąż, gdy ludzie przychodzili czasem do hallu, zanim nabrał takiej złej sławy w okolicy. Może to nieprawda, a może prawda, co jej opowiadano.

Stary lord był ojcem panny Furnivall — panny Grace, jak nazywała ją Dorothy, bo panna Maude była starsza i słusznie tytułowana panną Furnivall. Starego lorda zżerała pycha. Nigdy dotąd nie słyszano o tak dumnym panu ani takiego nie oglądano, a córki były w tym do niego podobne. Nikt nie był godny ich ręki, choć mogły przebierać jako panny słynne z piękności w tamtych czasach, o czym mogłam się przekonać oglądając ich portrety wiszące w salonie. Ale stare przysłowie mówi, że pycha będzie pogiębiona. Te dwie piękne panny zakochały się w jednym mężczyźnie, który był nikim, bo tylko cudzoziemskim muzykiem, którego ich ojciec sprowadził z Londynu, by grywać z nim w Manor House. Ponad wszystko bowiem dumny lord kochał muzykę. Umiał grać prawie na wszystkich instrumentach, o jakich w ogóle słyszano, ale muzyka nie łagodziła jego obyczajów. Był gwałtowny, surowy, okrucieństwem złamał serce swojej biednej żony, jak powiadali. Zwariowany na punkcie muzyki, gotów był zapłacić za nią każdą sumę. Sprowadził więc tego cudzoziemca, który grał tak pięknie, że podobno ptaki na drzewach przestawały śpiewać, żeby go słuchać. Stopniowo muzyk zdobył taki wpływ na starego lorda, że ten sprowadzał go co rok. To on przywiózł z Holandii wielkie organy, wmurował je w ścianę, gdzie teraz stoją, i nauczył starego lorda grać na nich. Bardzo często jednak, gdy lord Furnivall nie myślał o niczym innym poza swoimi pięknymi organami i jeszcze piękniejszą muzyką, ciemnowłosy muzyk spacerował po lesie z którąś z młodych dam — już to z panną Maude, już to z panną Grace.

Panna Maude odniosła zwycięstwo i zdobyła nagrodę: pobrali się po kryjomu, a zanim muzyk przyjechał z następną doroczną wizytą, w chacie wiejskiej na wrzosowiskach urodziła dziewczynkę w czasie, gdy jej ojciec i panna Grace myśleli, że wyjechała do Doncaster na wyścigi konne. Lecz nawet jako żona i matka nie złagodniała ani trochę, pozostała wyniosła i gwałtowna jak zawsze. A nawet wady te pogłębiły się jeszcze, bo była zazdrosna o pannę Grace, której jej cudzoziemski małżonek mocno nadskakiwał — mydląc Grace oczy, jak tłumaczył żonie. Panna Grace zatriumfowała jednak nad panną Maude, która była coraz bardziej wściekła na męża i na siostrę. Mąż, który mógł łatwo porzucić to, co było mu niemiłe, i skryć się w obcych krajach, wyjechał tego lata miesiąc wcześniej niż zwykle i prawie zagroził, że więcej nie wróci.

Tymczasem dziewczynka pozostawała w wiejskiej chacie, a matka kazała często siodłać konia i pędziła jak szalona po wzgórzach, by ją choć raz w tygodniu zobaczyć. Bo gdy kochała, to kochała, gdy nienawidziła, to nienawidziła z całej duszy. A stary lord grał dalej na swoich organach. Służba myślała, że ta miła muzyka zmieni jego okropny charakter, o którym, jak mówiła Dorothy, krążyły straszne opowieści. Zniedołężniał i musiał chodzić o kulach. Jeden jego syn — ojciec obecnego lorda Furnivalla — walczył w Ameryce, drugi przebywał na morzu. Panna Maude mogła więc robić, co chciała. Jej stosunki z siostrą stawały się z każdym dniem bardziej oziębłe i wrogie. Aż w końcu prawie ze sobą nie rozmawiały, zamieniając tylko słowo w obecności starego lorda. Muzyk cudzoziemiec zjawił się następnego lata już po raz ostatni. Tak go zmęczyły zazdrością i gwałtownymi scenami, że wyjechał i więcej o nim nie słyszano. A panna Maude, która zawsze zamierzała doprowadzić do tego, by jej małżeństwo uznano, gdy ojciec umrze, została teraz — ona, o której nikt nie wiedział, że wyszła za mąż — porzuconą żoną, z dzieckiem, do którego bała się przyznać, choć je do szaleństwa kochała, zmuszona do mieszkania z ojcem, który budził w niej strach, i z siostrą, której nienawidziła.

Kiedy minęło następne lato, a ciemnowłosy cudzoziemiec się nie pojawił, obie panny

sposępniały i posmutniały. Wyglądały strapione, choć na urodzie nadal im nie zbywało. Stopniowo panna Maude się rozpogadzała, bo ojciec niedołęźniał coraz bardziej i coraz bardziej pochłonięty był muzyką. Siostry żyły niemal osobno, miały oddzielne pokoje, panna Grace po stronie zachodniej, a panna Maude po wschodniej — te, które są teraz zamknięte. Uznała więc, że może mieć przy sobie córeczkę, a nikt nie musi o tym wiedzieć prócz tych, co się nie odważą na ten temat mówić i zobowiązani będą wierzyć, że jest to, jak twierdziła, dziecko wieśniaka, które sobie upodobała. Wszystko to, jak mówiła Dorothy, było dość dobrze znane. Nikt jednak nie wiedział, co stało się potem, nikt z wyjątkiem panny Grace i pani Stark, która już wtedy była jej pokojową i przyjaciółką, o wiele większą niż kiedykolwiek siostra. Na podstawie zasłyszanych słów służba sądziła, że panna Maude zatriumfowała nad panną Grace: powiedziała jej, że ciemnowłosy cudzoziemiec przez cały czas ją oszukiwał, udając miłość, gdyż był jej mężem. Tego dnia policzki i wargi panny Grace straciły czerwień na zawsze. Słyszano nieraz, jak mówiła, że prędzej czy później się zemści. A pani Stark szpiegowała stale w pokojach we wschodniej stronie domu.

Pewnej strasznej nocy, tuż po Nowym Roku, kiedy śnieg leżał gęsty i głęboki i padał wciąż jeszcze, tak nieprzerwanie, że mógł oślepić każdego, kto by się znalazł poza domem i z dała od domu, usłyszano nagle straszny hałas i wybijający się ponad wszystko głos starego lorda, który miotał przekleństwa i klątwy, i płacz dziecka, i słowa buntu wykrzykiwane przez dumną kobietę, i odgłos uderzenia, i martwą ciszę, i jęki, i zawodzenia, cichnące w stronie wzgórz. A potem lord zwołał całą służbę i powiedział, wśród okropnych przekleństw i potwornych wyzwisk, że córka jego się zhańbiła, że wygnał ją z domu — razem z dzieckiem — i że jeśli kiedykolwiek udzieli jej pomocy, jadała czy schronienia, to będzie się modlił, by nigdy nie weszli do nieba. A przez cały ten czas panna Grace stała obok niego, biała i nieruchoma jak kamień. Kiedy skończył, wydobyło się z jej piersi głębokie westchnienie, jakby chciała powiedzieć, że dokonała dzieła i cel swój osiągnęła. Stary lord nigdy już nie dotknął organów i w ciągu roku zmarł. Nic dziwnego! Bo nazajutrz po tej przerażającej nocy pasterze schodząc ze stoku zobaczyli pannę Maude, która postradała zmysły i siedziała pod dębami uśmiechając się i kołysząc w ramionach martwe dziecko z okropną raną na prawym ramieniu.

— Dziewczynki nie zabił ten zadany kulą cios — powiedziała Dorothy — tylko zimno i mróz. Każde stworzenie skryło się w swojej norze, każda owca w owczarni, a matka z dzieckiem, wypędzone, błąkały się wśród wzgórz. Teraz, gdy wiesz wszystko, ciekawa jestem, czy mniej się boisz?

Bałam się więcej niż kiedykolwiek, ale się nie przyznałam. Pragnęłam, byśmy z panią Rosamundą mogły być jak najdalej od tego straszego domu. Nie chciałam jej zostawić i bałam się zabrać ją z sobą! Ach, jak ją strzegłam, jak nad nią czuwałam! Ryglowałyśmy drzwi i zamykałyśmy szczelnie okiennice i to raczej godzinę lub więcej przed zmrokiem niż pięć minut później. Ale moja panienska wciąż słyszała krzyki i płacz tej dziwnej dziewczynki. Nic nie mogło stłumić pragnienia panienski Rosamundy, by pobiec do niej i sprowadzić ją do domu, chroniąc przed straszliwym mrozem i wiatrem. Przez cały ten czas trzymałam się jak mogłam najdalej od panny Furnivall i pani Stark. Bałam się ich, wiedziałam, że nic dobrego nie czeka mnie od tych kobiet z szarymi, surowymi twarzami i sennymi oczami wpatrzonymi w straszną przeszłość. Lecz nawet bojąc się czułam litość! — nad panną Furnivall szczególnie. Potępieńcy w piekle nie mogli chyba mieć bardziej zrozpaczonego wyglądu, niż miała zawsze jej twarz. W końcu tak mi było żal tej, która nigdy nie wymówiła słowa, chyba że się je z niej wydobyło prawie siłą — iż zaczęłam się za nią modlić. Nauczyłam panienską Rosamundę modlić się za osobę, która popełniła grzech śmiertelny.

Często jednak, gdy dochodziła w. modlitwie do tych słów, zaczynała nadśluchiwać i zrywała się z klęczek wołając:

— Słyszę, jak moja dziewczynka płacze i tak smutnie się żali... O, wpuść ją, bo umrze!  
Pewnego wieczoru, zaraz po Nowym Roku, który wreszcie nadszedł, a wraz z nim

nastąpił przełom długiej zimy, czego oczekiwałam, usłyszałam z salonu w zachodniej części domu trzykrotny dźwięk dzwonka, co było sygnałem dla mnie. Nie chciałam zostawić panienki samej, choć spała. Stary lord grał na organach głośniej niż kiedykolwiek, więc się bałam, że obudzi moją pieszczołkę, a wtedy mogłaby usłyszeć ducha tej dziewczynki. Zobaczyć by jej nie mogła, bo bardzo mocno zamknęłam okiennice. Wyjęłam ją z łóżeczka, otuliłam wierzchnim odzieniem, jakie znalazłam pod ręką, i zniosłam na dół do salonu, gdzie jak zwykle siedziały nad swoim haftem dwie stare panie. Podniosły wzrok, gdy weszłam, a pani Stark zapytała bardzo zdziwiona:

— Dlaczego wyjęłaś z ciepłego łóżka Rosamundę i przyniosłaś tutaj?

— Bo bałam się, że kiedy odejdę, będzie ją kusić ta tajemnicza dziewczynka na śniegu — odpowiedziałam szeptem.

Przerwała mi krótko (rzucając spojrzenie na pannę Furnivall) i powiedziała, że ona właśnie życzy sobie, żebym spruła kwiatek haftu, który źle jej wypadł, a czego obie z powodu słabego wzroku nie potrafią zrobić. Położyłam moją kochaną ślicznotkę na kanapie i siadłam na stołeczku przy nich, złorzeczając im w duchu, gdy słuchałam, jak wyl wzmagający się wiatr.

Panienka Rosamunda spała mocno mimo tej wichury. A panna Furnivall nie wyrzekła słowa ani nie podniosła wzroku, gdy podmuchy wiatru targały okiennicami. Nagle zerwała się i uniosła rękę, jakby każąc nam słuchać.

— Słyszę głosy — zawołała. — Słyszę okropne krzyki... Słyszę głos mojego ojca!

W tym momencie małeńka się obudziła.

— Moja mała dziewczynka płacze, och, jak płacze!

Próbowała się podnieść, by biec do niej, ale jej nóżki zaplątały się w koc, a ja ją pochwyciłam. Ciarki mnie przeszły, gdyż tylko ona słyszała te głosy. Po chwili dźwięki nasiliły się i wypełniły również nasze uszy. Usłyszałyśmy głosy i krzyki zamiast szalejącej za oknami zimowej nawałnicy. Pani Stark popatrzyła na mnie, a ja na nią, ale się nie odważyłyśmy wyrzec słowa. Nagle panna Furnivall ruszyła ku drzwiom, przeszła przez przedpokój i zachodni przedsionek i otworzyła drzwi do hallu. Pani Stark szła za nią, a ja nie śmiałam zostać sama, serce zamierało mi prawie ze strachu. Owinęłam mocno w koc panienkę Rosamundę i trzymając ją w ramionach wyszłam z salonu za tamtymi kobietami. W hallu krzyki rozbrzmiewały głośniej niż zawsze. Dochodziły ze wschodniego skrzydła domu, zbliżały się do zamkniętych drzwi. Zauważyłam, że ogromny świecznik z brązu jest zapalony, choć w hallu panują ciemności, a w dużym kominku pali się ogień nie dający ciepła. Wzdrygnęłam się z przerażenia i mocniej przytuliłam do siebie dziecko. W tym momencie drzwi prowadzące do wschodniego skrzydła zatrasnęły się, a Rosamunda wyrывая mi się krzyknęła:

— Hester! Muszę iść! Tam jest moja dziewczynka! Słyszę ją... Już się zbliża! Hester, ja muszę iść do niej!...

Trzymałam ją z całej siły, niewzruszona. Gdybym nawet miała umrzeć, nie puszcze jej, postanowiłam. Panna Furnivall stała nasłuchując i nie zwracała uwagi na moją małeńką, która stanęła na podłodze, a ja klęcząc teraz obejmowałam ją obu rękami. Wyrывała się i ciągle krzyczała, by się wyswobodzić.

Nagle drzwi wschodnie otworzyły się ze straszliwym trzaskiem, jakby rozwarte w gwałtownej furii, i w dziwnym mglistym blasku ukazała się postać wysokiego starca o siwych włosach i błyszczących oczach. Ciągnął za sobą niechętnie i z odrazą piękną kobietę o surowej twarzy, do której sukni czepiało się małe dziecko.

— O, Hester! Hester! — krzyknęła panienka Rosamunda. — To pani spod dębu! I moja mała dziewczynka przy niej! Hester! Hester! puść mnie do niej! One ciągną mnie do siebie! Czuję to... Czuję... Muszę iść!

Znów konwulsyjnie zaczęła się wydzierać, ale trzymałam ją mocno, coraz mocniej, aż się bałam, że wyrządę jej krzywdę. Lecz byłam gotowa raczej na to niż pozwolić jej biec ku tym straszonym zjawom. Szły ku drzwiom wiodącym do hallu, gdzie wichura wyla w oczeki-

waniu swej zdobyczy. Zanim jednak dotarły do drzwi, ta pani się odwróciła i dojrzałam, że zbuntowana, z wściekłością się opierała mężczyźnie. Zadrżała i nagle żalonym ruchem uniosła ręce w obronie dziecka, swego maleństwa, przed ciosem wzniesionej kuli.

A panienka Rosamunda, ciągnięta siłą większą, niż moja, wiła się w moich ramionach i szlochała (osłabła już biedactwo).

— One chcą, żebym szła z nimi na wzgórze... ciągną mnie do siebie... O, moja mała dziewczynka! Poszłabym, ale okrutna, niedobra Hester tak mocno mnie trzyma...

Lecz kiedy zobaczyła wzniesioną kulę, zemdląła, za co dziękowałam Bogu. Właśnie w tej chwili, gdy wysoki starzec, z włosami rozwianymi jakby w podmuchu żaru, miał już udeżyć małą skurczoną dziecinę, stara panna Furnivall zawołała:

— Ojczy! Ojczy! Oszczędź to niewinne dziecię!

A wtedy ujrzałam — ujrzałyśmy wszystkie — jakieś nowe widmo, wynurzające się z błękitnego mglistego światła wypełniającego hall. Nie widziałyśmy jej do tej pory. Bo to była druga pani, która stanęła przy starcu, a twarz jej wyrażała powściąganą nienawiść i pełną triumfu pogardę. Piękna postać w miękkim białym kapeluszu, zsuniętym na twarz o dumnym czole i czerwonych wargach. Kobieta ubrana była w głęboko wyciętą suknię z niebieskiego aksamitu. Widziałam już tę postać. Był to wizerunek panny Furnivall z lat jej młodości. Straszne zjawy szły przed siebie, nic zważając na rozpaczliwe błagania starej panny Furnivall... I wzniesiona kula spadła na ramię dziecka, a młodsza siostra patrzyła na to, skamieniała i śmiertelnie spokojna. W tejże chwili przyćmione światło i ogień, który nie dawał ciepła, znikły nagle, a panna Furnivall padła u naszych stóp, porażona paraliżem, porażona śmiertelnie.

Tego wieczora została zanieśiona do łóżka, by się już z niego nie podnieść. Leżała z twarzą odwróconą do ściany, mamrocząc cicho, bez końca:

— Niestety! Niestety! Tego, co się popełniło w młodości, nie da się już nigdy z latami odmienić!

*Przełożyła Jadwiga Olędzka*

JOSEPH SHERIDAN LE FANU

## DUCH PANI CROWL

Wysoką i smukłą panią Jolliffe widziałyśmy po raz ostatni dwadzieścia lat temu. Przekroczyła już siedemdziesiątkę i zapewne niebawem zakończy swą ziemską wędrówkę. Uczesane z przedziałkiem włosy pobieły jak śnieg pod czepeczkiem, spod którego wyziera twarz przebiegła, acz dobrotliwa. Pani Jolliffe jednak nadal trzyma się prosto i chodzi krokiem lekkim i żwawym.

W podeszłym wieku poświęciła się pieczy nad dorosłymi chorymi, w młodsze ręce przekazawszy malców leżących w kołyskach i raczkujących po podłodze. Ci, którzy zachowali w pamięci to zacne oblicze wraz z najwcześniejszymi obrazami wyłonionymi z mroku nicości i których ona pierwsza uczyła trudnej sztuki chodzenia, ci, których dziecięce gaworzenie i pierwsze ząbki budziły w niej taki radosny zachwyt, zdążyli wyrosnąć na wysokich chłopców i dziewczęta. Niejednemu siwizna przyprószyła już loki — te „śliczne złote kędziory”, z taką dumą przez nią szczotkowane i pokazywane wniebowziętym mamusiom. Mamusie tamtych dzieci nic spacerują dziś po błoniach Golden Friars; ich nazwiska są wyryte na płaskich nagrobkach z szarego kamienia.

Tak to czas sprawia, iż jedni dojrzewają, drudzy zaś przejrzewają; nadeszła zasmucają-

ca, tkliwa godzina zmierzchu i spędzam wieczór z zacną starszą panią z północy kraju, dawną niańką ładnej Laury Mildmay, która teraz zjawia się w pokoju z radosnym uśmiechem, zarzuca staruszce ramiona na szyję i całuje ją w oba policzki.

— Świetnie się składa! — oznajmiła pani Jenner. — Przybywasz w samą porę, by posłuchać bajki.

— Coś takiego! To wspaniale!

— Och, dajże spokój! Żadna tam bajka, ale najprawdziwsza prawda, sama to na własne oczy widziała. Tylko że ta dziecina pewno nie zechce o tej porze, przed pójściem do łóżka, słuchać bajania o czarach i duchach.

— O duchach? Właśnie o nich najbardziej bym chciała posłuchać.

— No to siadaj z nami, moja droga, jeśli się nie boisz — rzekła pani Jenner. I wyjaśniła: — Miała mi opowiedzieć o swojej pierwszej posadzie u konającej staruszki i o duchu, który tam się jej ukazał. Proszę sobie najpierw zaparzyć herbaty, pani Jolliffe, i opowiadać.

Zacna kobieta usłuchała, nalała sobie do kompanii filiżankę tego nektaru, upiła parę łyżczków, a następnie lekko zmarszczyła brwi w namyśle i podniosła wzrok ze zdumiewającą powagą na twarzy, by po chwili rozpocząć.

Pocziwa pani Jenner i ładna dziewczynka wpatrywały się z pełnym oczekiwania namaszczaniem w oblicze starej kobiety, w której przywoływane wspomnienia zdawały się budzić grozę.

Staroświecki pokój z dębową boazerią, z dziwacznymi ciężkimi meblami, z grubymi belkami u sufitu i z baldachimem nad wysokim łóżem przysłoniętym ciemnymi kotarami, za którymi można było wyobrazić sobie takie cienie, jakie dusza zapragnie, stanowił dobrą oprawę takiej opowieści.

Pani Jolliffe odchrząknęła, z wolna potoczyła wzrokiem dokoła i w te słowa rozpoczęła swoją opowieść:

### **Duch pani Crowl**

Teraz jestem starą kobietą, ale właśnie skończyłam trzynaście lat tego wieczora, kiedy przyjechałam do Applewale House. Moja ciotka była tam gospodynią i wysłano do Lexhoe powozik zaprzężony w jednego konia, który miał mnie i mój kuferek zabrać stamtąd do Applewale.

Strach mnie obleciał, zanim dojechałam do Lexhoe, a na widok powoziku i konia zapragnęłam wrócić do mamy do Hazelden. Płakałam wsiadając do „karetki” —jakeśmy ją nazywali — a stary John Mulbery, który powoził i dobre miał serce, kupił mi Pod Żłotym Lwem kilka jabłek na pociechę; powiedział też, że w wielkim domu, w pokoju mojej ciotki, czeka na mnie ciasto z rodzynkami i herbata, i kotlety wieprzowe, wszystko prosto z ognia. Noc była piękna, księżycowa i wyglądając z okna karetki pogryzałam jabłka.

Wstyd i hańba, kiedy panowie straszą biednego głuptasa, takiego jak ja. Czasem sobie myślę, że robią to dla żartu. Obok mnie siedziało ich dwóch w dyliżansie. Ledwie zmrok zapadł i wzeszedł księżyc, zaczęli mnie wypytywać, dokąd jadę. Więc im powiedziałam, że na służbę do pani Arabelli Crowl z Applewale House koło Lexhoe.

— No to w takim razie — mówi jeden — długo tam miejsca nie zagrzejesz!

Popatrzyłam na niego, jakbym chciała spytać: „A to czemu?”, gdyż nie kryłam, dokąd jadę, i nie widziałam w tym nic złego.

— Bo — odparł — ale ani mi się waży choćby słówkiem o tym pisać, tylko patrz na nią, a sama się przekonasz.... bo ona jest opętana przez czarta i więcej ma w sobie z ducha niż z człowieka. Zabrałaś Biblię?

— Tak, proszę pana — powiadam. Bo matka włożyła mi moją małą Biblię do kufereka i wiedziałam, że tam leży. Na pamiątkę, chociaż druk jest na moje stare oczy za drobny, po dziś dzień trzymam ją w szafie na półce.

Kiedy podniosłam na niego wzrok mówiąc: „Tak, proszę pana”, wydało mi się, że widzę, jak mruga do przyjaciela, ale nie byłam pewna.

— Cóż — on na to — nie zapomnij chować jej co wieczór pod zagłówek, żeby starucha nie dostała cię w swe szpony.

Nie potrafię sobie wystawić, jak się złękłam na te słowa! Taką miałam ochotę wypytać go o starszą panią, ale mi brakło śmiałości, a on i jego przyjaciel zaczęli ze sobą rozmawiać o swoich sprawach, więc z ociąganiem, jak wam mówiłam, wysiadłam w Lexhoe. Serce uciekło mi w piętę, kiedy wjechaliśmy w ciemną aleję. Drzewa tam stoją wysokie i grube, prawie równie stare jak dom, a cztery osoby, wyciągając ramiona i dotykając się tylko palcami, nie każde z nich opaszą, i to z trudem.

Wytknęłam głowę za okno, ciekawa zobaczyć wielki dom; i wtem, całkiem nagle, zajęchaliśmy przed drzwiami frontowe.

To ogromny biało-czarny dom, z grubymi czarnymi belkami na krzyż, zakończony szczytami białymi jak prześcieradło, spozierającymi w stronę księżyca, a na ścianie cienie drzew — jest ich tam ze dwa czy trzy od frontu, można by na nich listki liczyć — i tyle tych małych szybek połyskujących w wielkim oknie hallu, i masywne okiennice, według dawnej mody zawieszane na zawiasach od zewnątrz, we wszystkich pozostałych oknach zaryglowane, bo w domu była tylko trójka czy czwórka służby i stara pani, więc większość pokoi zamknięto na klucz.

Serce podskoczyło mi do gardła, kiedy zobaczyłam, że to koniec podróży i wielki dom stoi przede mną i że jest tu moja ciotka, której nigdy przedtem na oczy nie widziałam, i pani Crowl, której mam posługiwać, i bardzo się już bałam.

Ciotka ucałowała mnie w hallu i zaprowadziła do swojego pokoju. Była wysoka, chuda, twarz miała bladą, czarne oczy i długie, chude ręce w czarnych mitenkach. Zaczęła szósty krzyżyk i nie trwoniła słów, ale jej słowo było prawem. Nie mogę na nią narzekać, tyle że się okazała surowa i chyba miałaby dla mnie więcej serca, gdybym była jej siostrzenicą, nie bratanicą. Ale teraz to już nie ma znaczenia.

Dziedzic — nazywał się pan Chevenix Crowl, był wnukiem pani Crowl — zjeżdżał tam ze dwa czy trzy razy do roku, żeby zobaczyć, czy się dobrze ze starszą panią obchodzą. Przez cały czas mojego pobytu w Applewale House widziałam go ledwie dwa razy.

Mimo to nie powiem, żeby miała źle, ale to dlatego, że moja ciotka i Meg Wyvern, pokojówka starszej pani, poczuwały się do obowiązku.

Pani Wyvern — ciotka mówiła do niej Meg, ale do mnie pani Wyvern — była tłustą, wesołą pięćdziesięciolatką, słusznego wzrostu i dobrej tuszy, zawsze pogodną i powolną w ruchach. Zarabiała przyzwoicie, ale dusiła grosz i wszystkie lepsze sukienki trzymała pod kluczem, chodziła zaś przeważnie w jednej sukni bawełnianej z czerwonymi, żółtymi i zielonymi gałązkami i kulkami na czekoladowym tle, która cudownie jej się nosiła.

Przez cały ten czas nigdy niczego od niej nie dostałam, choćby takiej taniuchy jak mosiężny napastrzek, ale była poczciwa, wciąż roześmiana i usta jej się przy herbacie nie zamykały, a widząc, że taka jestem zahukana i smutna, rozweselała mnie swoim śmiechem i bajaniem. Wolałam ją chyba od ciotki — dzieci przepadają za żartami i opowiastkami — chociaż ciotka była dla mnie bardzo dobra, ale pod pewnymi względami wymagająca i zawsze małomówna.

Ciotka zaprowadziła mnie do swojej sypialni, żebym mogła trochę odpocząć, zanim nakryje do herbaty. Najpierw jednak poklepała mnie po ramieniu i powiedziała, że duża ze mnie dziewczynka jak na mój wiek, że ładnie wyrosłam, spytała też, czy potrafię szyć i znam różne ściegi. Przyjrzała mi się uważnie i stwierdziła, że jestem podobna do mojego dawno zmarłego ojca, a jej brata, ale ma nadzieję, że lepsza ze mnie chrześcijanka i czegoś takiego bym nie zrobiła.

Chyba nie powinna tak mówić, ledwo przestąpiłam próg jej sypialni.

Kiedy weszłam do sąsiedniego pokoju — bardzo wygodnego, ze ścianami wyłożonymi dębem — na kominku buzował ogień, palił się węgiel, torf i szczapy, wszystko razem, a na stole stała herbata, gorące ciasto i parujące mięso. Siedziała tam też pani Wyvern, tłusta, wesoła i gadatliwa, która w jedną godzinę potrafiła powiedzieć więcej niż moja ciotka przez całe życie.

Zanim dopiłam herbatę, ciotka poszła na górę do pani Crowl.

— Poszła zobaczyć, czy stara Judith Squailes się nie zdrzemnęła — wyjaśniła pani Wyvern. — Judith siedzi przy pani Crowl, kiedy nie ma mnie i pani Shutters. — Tak nazywała się moja ciotka. — Staruszka sprawia dużo kłopotu. Będziesz musiała dobrze jej pilnować, żeby się nie rzuciła w ogień albo nie wyskoczyła oknem. Denerwuje się, i to jak jeszcze, chociaż taka jest stara.

— Ile ma lat, proszę pani?

— Skończyła dziewięćdziesiąt trzy, a urodziny miała już osiem miesięcy temu — odpowiedziała ze śmiechem. — Ale nie pytaj mnie o nią przy ciotce, zapamiętaj to sobie; po prostu bierz ją taką, jaka jest, i tyle.

— A co ja będę musiała przy niej robić?

— Robić przy staruszce? No cóż, to ci powie ciotka, pani Shutters. Przypuszczam, że będziesz musiała siedzieć z robótką w jej pokoju i uważać, żeby nie nabroiła, i pozwalać jej się bawić rzeczami na stole, i przynosić jej jedzenie i picie, jak zawoła, i nie pozwalać jej psocić, i głośno dzwonić, jakby zaczęła być nieznośna.

— Czy ona jest głucha, proszę pani?

— Nie, i nie ślepa. Jest bardzo bystra, ale całkiem jej się w głowie pokręciło i niczego już nie pamięta. Bajeczek dla dzieci lubi słuchać tak samo jak plotek ze dworu czy najnowszych wydarzeń.

— A dlaczego odeszła tamta dziewczynka, proszę pani, ta, co wyjechała w ubiegły piątek? Ciotka pisała do mojej matki, że odchodzi.

— Tak, odeszła.

— Ale dlaczego? — powtórzyłam.

— Coś mi się zdaje, że nie odpowiadała pani Shutters. Nie wiem na pewno. Ale nie gadaj, twoja ciotka nie cierpi gadatliwych dzieci.

— Bardzo proszę, niech mi pani powie, czy starsza pani jest zdrowa.

— Takie pytanie wolno zadać każdemu. Ostatnio trochę słabowała, ale w zeszłym tygodniu nastąpiła poprawa i nie wątpię, że jeszcze dociągnie do setki. Ciii! Słyszę z korytarza kroki twojej ciotki.

Ciotka wchodzi do pokoju i wdaje się z panią Wyvern w rozmowę, a ja, już spokojniejsza i zadomowiona, zaczynam sobie to i owo oglądać. Na kredensie stały ładne stare figurki z porcelany, a na ścianach wisiały obrazy; przez otwarte drzwi dojrzałam dziwny stary skórzany kaftan z paskami i sprzączkami, z rękawami długimi jak słupki baldachimu.

— Czego ty tam szukasz, dziecko? — pyta ciotka, jak zawsze spostrzegawcza, obracając się, kiedy sądziłam, że nic nie zauważa. — Co trzymasz w ręce?

— To, proszę cioci? — odpowiadam i odwracam się ze skórzanym kaftanem w ręce. — Nie wiem, co to takiego, proszę cioci.

Mimo zwykłej bladej policzki jej pokraśniały, oczy zalśniły gniewem i coś mi się zdaje, że gdyby nie dzieliło nas te kilka kroków, dostałabym za swoje. I tak potrząsnęła mnie za ramię, wyrwała mi ten przedmiot z ręki i powiada: — Dopóki tu jesteś, ani mi się waży dotykać tego, co nie twoje — i wiesza go z powrotem na kołku, trzaska drzwiami i zamyka je na klucz.

Przez cały ten czas pani Wyvern podnosiła do góry ręce i śmiała się cicho w swoim fotelu, lekko się w nim zataczając, jak to miała w zwyczaju, kiedy ją coś naprawdę rozbawiło.

Łzy napłynęły mi do oczu, a ona mrugnęła na ciotkę i ociera swoje oczy, też mokre, ale



od śmiechu-

— Przecież ten dzieciak nic złego nie miał na myśli — powiada. — Chodź tu do mnie, dziecino.

To tylko kule dla kulawych kacząt, i pamiętaj o nic nie pytać, to nie będziemy ci kłamać. Chodź tutaj, siadaj i napij się piwa przed pójściem do łóżka.

Mój pokój był na górze, wiecie, sąsiadował z sypialnią starszej pani, łóżko pani Wyvern stało obok jej łóżka, a ja miałam być w razie potrzeby na zawołanie.

Starsza pani pokazywała tego wieczora swoje niehumory i za dnia już także. Miewała podobne napady i dasy. Czasami nie pozwalała się ubrać, a znów kiedy indziej nie dawała się rozebrać. Powiadają, że za młodu była wielką pięknoscią. Ale w sąsiedztwie Applewale już nie pozostał nikt taki, kto by ją pamiętał z tamtych lat. Wprost przepadała za strojami, miała grube jedwabie i sztywne satyny, i aksamity, i koronki, i różne różności, można by tym załadować co najmniej siedem sklepów. Wszystkie suknie były staromodne i dziwaczne, ale warte majątek.

No więc poszłam do łóżka. Przez chwilę nie mogłam zasnąć, tyle rzeczy było tu dla mnie nowych, a i herbata też musiała podziałać mi na nerwy, bo rzadko ją pijam, może raz kiedyś przy święcie czy podobnej okazji. Doleciał mnie głos pani Wyvern i słuchałam z ręką przytkniętą do ucha, ale nie mogłam rozróżnić słów pani Crowl i myślę, że wcale się nie odzywała.

Wszyscy strasznie się z nią cackali. Służba w Applewale wiedziała, że po jej śmierci dostanie wymówienie, a praca była dobrze płatna i łatwa.

Dwa razy na tydzień przyjeżdżał lekarz, oglądał starszą panią i możecie mi wierzyć, że wypełniano jego zalecenia. Jedno powtarzało się za każdą wizytą. Broń Boże jej nie złościć, w niczym się nie sprzeciwiać, ale ustępować i dogadzać we wszystkim.

Więc całą noc i następny dzień przeleżała w ubraniu, słowem się nie odzywając, a ja przesiadywałam ten dzień w moim pokoju z robotką, zeszałam tylko na obiad.

Chętnie bym zobaczyła starszą panią albo choć posłuchała, jak mówi. Ale równie dobrze mogłaby przez ten czas być w Londynie, tak samo bym jej nie usłyszała.

Po obiedzie ciotka kazała mi na godzinę pójść na spacer. Wróciłam z niego z radością, bo drzewa były takie wielkie, a w parku tak ciemno i pusto, a niebo zachmurzone, i w czasie tej samotnej przechadzki pobeczałam sobie na myśl o domu. Wieczorem siedziałam w moim pokoju przy zapalonych świecach i drzwiach otwartych do sypialni pani Crowl, gdzie była ciotka. I wtedy po raz pierwszy usłyszałam coś, co wzięłam za głos starszej pani.

Jakiś dziwny pisk, ni to ptasi, ni zwierzęcy, takie cichutkie pobekiwanie.

Nastawiłam uszu, żeby lepiej słyszeć, ale nie umiałam rozróżnić ani jednego słowa. Ciotka odpowiedziała:

— Złe nie może nikomu wyrządzić krzywdy, proszę pani, bez zezwolenia boskiego.

I ten sam dziwny głos z łóżka mówi coś jeszcze, w czym zupełnie nie mogę się połapać.

A ciotka znów na to:

— Mogą sobie stroić miny, proszę pani, mogą gadać, co im ślina na język przyniesie; jeśli Bóg jest z nami, kto może być przeciw nam?

Wciąż nasłuchiwałam zwrócona do drzwi, wstrzymując oddech, ale z sypialni nie doleciało już ani słowo, ani żaden inny dźwięk. Ze dwadzieścia minut później, kiedy oglądałam przy stole obrazki w starych „Bajkach” Ezopa, jakby coś poruszyło się w drzwiach. Podniosłam głowę i widzę twarz ciotki i jej uniesioną do góry rękę.

— Pst! — mówi cichuteńko, podchodzi do mnie na palcach i ciągnie szeptem: — Dzięki Bogu, nareszcie zasnęła, więc nie hałasuj do mojego powrotu. Zejdę po filiżankę herbaty i migiem wracam... razem z panią Wyvern, ona będzie tam spała, a jak przyjdziemy, ty leć na dół i niech ci Judith poda kolację w moim pokoju.

Z tymi słowy się oddaliła.

Ja wciąż oglądałam obrazki, co chwila nastawiając ucha, ale nic nie słyszałam, nawet oddechu. Zaczęłam szeptem przemawiać do obrazków i sama do siebie dla dodania otuchy, bo w tym dużym pokoju strach mnie oblatywał.

W końcu wstałam i zaczęłam krążyć tam i z powrotem, popatrując na to i owo dla urozmaicenia. No i w końcu cóż ja robię takiego? Zaglądam do sypialni pani Crowl.

Ogromny to był pokój, z wielkim łóżem pod baldachimem, z kwiecistymi jedwabnymi zasłonami od sufitu do podłogi, teraz zaciągniętymi dokoła łóżka. Znajdowało się tam lustro, największe, jakie w życiu widziałam, i strasznie było jasno. Naliczyłam dwadzieścia dwie woskowe świece, wszystkie zapalone. Taką miała fantazję i nikt się nie ośmielił jej sprzeciwić.

Nasłuchiwałam pod drzwiami, gapiąc się i dziwując. Nie dolatywało tu najlżejsze tchnięcie, zasłony ani drgnęły, więc trochę ośmielona weszłam na palcach do środka i znów się rozejrzałam. Zerknęłam na swoje odbicie w lustrze i w końcu przyszło mi do głowy, że mogłabym przecież popatrzeć na starszą panią w jej łóżku.

Wam by się to wydało głupie, ale ja tak strasznie pragnęłam zobaczyć panią Crowl, a pomyślałam, że jak teraz tego nie zrobię, nieprędko może mi się trafić druga taka okazja.

No więc, moje drogie, podeszłam do łóżka ukrytego za kotarą i o mały włos nie stchórzyłam. Ale zebrałam się na odwagę i wetknęłam między grube zasłony palec, a potem całą rękę. Chwilkę odczekałam, lecz cisza panowała jak w grobie. Więc całkiem bez szelestu odsunęłam zasłonę, no i proszę, leży sobie przede mną słynna pani Crowl z Applewale House, wyciągnięta jak ta malowana pani na nagrobku z kościoła w Lexhoe. Leży sobie wystrojona jak lala. Dzisiaj czegoś takiego się nie zobaczy. Satyna i jedwab, szkarłat i zieleń, złoto i igłowe koronki; jak Bożię kocham, było na co popatrzeć! Wielka upudrowana peruka, prawie taka jak ona sama, sterczała starszej pani na głowie i coś takiego! — takich zmarszczek nikt na świecie nie widział! — a starczy, obwisły podbródek miała upudrowany na biało, policzki uróżowane, brwi z mysiej skórki, które przyklejała jej pani Wyvern, i leżała tam sobie dumna i sztywna, w jedwabnych pończochach ze strzałką i w pantoflach na obcasach wysokich jak kręgle. O, Boziuniu! Nos miała haczykowaty i cienki, a oczy do połowy przymknięte. Stawała kiedyś, wystrojona jak teraz, chichocząc i wdzięcząc się przed lustrem, z wachlarzem w dłoni i bukietem przypiętym do stanika. Pomarszczone rączki wyciągnęła wzdłuż boków, a takich długich i ostrych paznokci nie widziałam, jak żyję. Może taka to była u jaśnie państwa moda, żeby nie przycinać paznokci?

No cóż, na taki widok same byście się złąkły. Nie mogłam puścić kotary ani się poruszyć, ani odwrócić od niej oczu; serce we mnie zamarło. Wtem ona otwiera oczy i dźwiga się, obraca i spuszcza nogi, stuka dwoma wysokimi obcasami o podłogę, siedzi twarzą do mnie, patrzy wielkimi szklistymi oczami, ze złośliwym uśmiechem na pomarszczonych wargach, i odsłania długie sztuczne zębiska.

Cóż, nieboszczyk to rzecz naturalna, ale to był najstraszniejszy widok w całym moim życiu. Wyciągniętymi palcami wskazywała na mnie, a plecy miała krzywe, zaokrąglone ze starości.

— Ty gałganie! — mówi. — Czemuś powiedziała, że zabiłam chłopca? Na śmierć cię załaskoczę!

Gdybym się choć trochę zastanowiła, zaraz bym wzięła nogi za pas. Ale nie potrafiłam oczu od niej oderwać i tylko zaczęłam się cofać, kiedy już mogłam się poruszyć; ona ze stukotem sunęła za mną, jak pajac na sznurku, szponami sięgając mi do gardła i przez cały czas posykując: sss, sss, sss.

Wciąż się cofałam i cofałam, jak najszybciej się dało, z jej palcami zaledwie o parę cali od gardła, przekonana, że jeśli mnie dotknie, postradam zmysły.

Wycofałam się w sam kąt pokoju i wydałam taki wrzask, jakby mnie ktoś ze skóry obdzierał, a w tej samej chwili ciotka ryknęła od drzwi, starsza pani odwróciła się do niej, ja

się wykręciłam na pięcie, przeleciałam przez mój pokój i zbiegłam po schodach tak szybko, jak mnie nogi zdołały unieść.

Mówię wam, darłam się wniebogłosy, kiedy wpadłam do pokoju gospodyni. Pani Wyvern uśmieła się serdecznie słuchając mojej opowieści. Ale spoważniała, gdy jej powtórzyłam słowa starszej pani.

— Powiedz to jeszcze raz — poprosiła.

Więc to zrobiłam.

— Ty gałganie! Czemuś powiedziała, że zabiłam chłopca? Na śmierć cię załaskoczę.

— Rzeczywiście mówiłaś, że zabiła chłopca? — pyta.

— Nie, proszę pani — ja na to.

Od tej pory Judith zawsze siedziała razem ze mną na górze, kiedy dwie starsze kobiety schodziły na dół. Wolałabym wyskoczyć oknem niż zostać z nią sama.

O ile dobrze pamiętam, w jakiś tydzień później, kiedy pewnego dnia zostałyśmy we dwie z panią Wyvern, opowiedziała mi o pani Crowl coś, czego dotąd nie wiedziałam.

Siedemdziesiąt lat temu z okładem, będąc młodą i wielkiej urody dziewczyną, poślubiła pana Crowla z Applewale. On jednak był wdowcem i miał synka, może dziewięcioletniego.

Pewnego rana wszelki śluch o chłopczyku zaginął. Nikt nie potrafił powiedzieć, dokąd poszedł. Miał za dużo swobody i rankami włóczył się, gdzie chciał, to wstąpił do chatki gajowego i zjadł z nim śniadanie, to znów poszedł do królikarni, a do domu wrócił dopiero pod wieczór, kiedy indziej pobiegł nad jezioro, kąpał się i przez cały dzień łowił ryby albo wiosłował sobie w łódce. No więc nikt nie wiedział, co się z nim stało, tyle tylko, że ktoś znalazł jego kapelusz nad jeziorem, pod krzakiem głogu, który do dziś tam rośnie, więc myślano, że się utopił w czasie kąpieli. I syn dziedzica z drugiego małżeństwa, z tą panią Crowl, która żyje tak strasznie długo, odziedziczył majątek. Jego to właśnie syn, a wnuk starej pani, pan Chevenix Crowl, był właścicielem majątku wtedy, kiedy ja nastąpiłam w Applewale.

Dużo się o tym gadało na wiele lat przed przybyciem mojej ciotki i ludzie mówili, że macocha wie więcej, niż gotowa jest zdradzić. Swojego męża, starego dziedzica, zwiodła czarami i pochlebstwami. Ponieważ zaś chłopczyk przepadł bez wieści, z czasem sprawa ta wywietrzała ludziom z głowy.

A teraz posłuchajcie, co widziałam na własne oczy.

Byłam tam niecałe pół roku, kiedy nadeszła zima i starsza pani zapadła na swoją ostatnią chorobę.

Lekarz się bał, że to napad szału, taki jak piętnaście lat wcześniej, po którym nieraz wkładali jej kaftan bezpieczeństwa, właśnie ten skórzany kaftan, co to wisiał w schowku obok pokoju mojej ciotki.

No, ale nie dostała szału. Opadała z sił i słabła, marniała w oczach i po cichutku odchodziła ze świata, aż na dzień czy dwa przed śmiercią zaczęła bredzić i piszczeć w swoim łóżku, myślałby kto, że bandyta chce jej poderżnąć gardło, i wyrywała się z pościeli, a że nie mogła utrzymać się na nogach ani chodzić, padała na podłogę z wyciągniętymi przed siebie starymi, wyschniętymi rękami i wciąż błagała o litość.

Pewnie się domyślacie, że nie wchodziłam do jej sypialni i dygotałam w łóżku ze strachu, kiedy tak skamlała i szamotała się na podłodze, i wyrzaskiwała słowa, od których ciarki przebiegały po skórze.

Moja ciotka, pani Wyvern, Judith Squailes i pewna niewiasta z Lexhoe stale się koło niej krzątały. Wreszcie dostała parkosyzmów, które do reszty ją wyczerpały.

Przyszedł ksiądz dobrodziej i modlił się za nią, ale ona już nie mogła się modlić. Chyba tak być powinno, na nic się to jednak nie zdało i wreszcie przeniosła się na tamten świat, wszystko się skończyło, starą panią Crowl owinięto w całun i ułożono w trumnie, po czym listownie wezwano dziedzica. Ponieważ bawił we Francji i zwłoka byłaby za długa, ksiądz i lekarz orzekli wspólnie, że nie należy odkładać pogrzebu. Poza nimi dwoma, moją ciotką i

resztą służby z Applewale nikt się nie pofatygował towarzyszyć jej na miejsce wiecznego spoczynku. Tak więc starą panią na Applewale złożono w krypcie pod kościołem w Lexhoe, my zaś mieszkaliśmy dalej w dużym domu, czekając na powrót dziedzica i decyzję, co z nami pocznie, i na zapłatę, jeśli zechce nas odprawić.

Po śmierci starszej pani przeniesiono mnie o dwa pokoje dalej od jej sypialni i posłuchajcie teraz, co się zdarzyło w nocy przed przybyciem pana dziedzica Chevenixa do Applewale.

Mój nowy pokój był dużą czworokątną komnatą z dębowymi boazeriami, prawie nieumeblowaną, jeśli nie liczyć łóżka bez zasłon, krzesła, stołu i może czegoś jeszcze, ale ponieważ był taki ogromny, wydawał się niemal pusty. Wielkie lustro, w którym starsza pani zwykła się przeglądać od stóp do głowy, teraz już nikomu niepotrzebne, usunięto z drogi i stało oparte o ścianę w moim pokoju, bo jak się pewnie domyślacie, trzeba było poprzesuwać wiele sprzętów w jej sypialni, żeby ją włożyć do trumny.

Tego dnia nadeszła wiadomość, że dziedzic przyjeżdża do Applewale nazajutrz rano, a ja nie bardzo się zmartwiłam, bo przypuszczałam, że mnie odeślą do domu, do matki. Strasznie się na to cieszyłam i myślałam o nich wszystkich, o mojej siostrze Janet, o kotku i o psie Trimmerze, i o całej reszcie, i taka się zrobiłam niespokojna, że nie mogłam zasnąć, aż tu zegar wybił dwunastą, a ja całkiem rozbudzona leżałam w ciemnościach gęstych jak smoła, plecami do drzwi, twarzą do przeciwległej ściany.

Nie minęło i piętnaście minut, aż tu przed moimi oczami coś błyska, niby jakiś płomyk, łóżko, krzesło i sukienka wisząca na ścianie rzucają cienie, a te cienie tańczą po belkach sufitu i dębowej boazerii. Obejrzałam się szybko przez ramię, czy aby ktoś nie zaproszył ognia.

I jak Bożię kocham, cóż ja takiego widzę, jeśli nie tę staruchę nieboszczkę wystrojoną w jej satyny i aksamity, mizdrzącą się, z oczami jak spodki, a twarzą jak u diabła samego. Roztaczała czerwony blask, jakby suknia od dołu zajęła się płomieniem. Szła prosto na mnie, wyciągając pomarszczone i zakrzywione paluchy, jakby mnie miała pochwycić w szpony. Nie mogłam się poruszyć, ale mnie minęła w podmuchu zimnego powietrza i prześliznęła się pod ścianą do alkowy, jak to nazywała moja ciotka. W tej wnęce dawnymi czasy stało łoże z baldachimem, teraz była na oścież otwarta, a ona po omacku czegoś tam szukała. Nigdy przedtem tych drzwi nie widziałam. Obróciła się do mnie jak na osi, popatrzyła zgryźliwie i w jednym mgnieniu oka w pokoju pociemniało, a ja stałam z drugiej strony łóżka. Nie wiem, skąd się tam wzięłam, a kiedy wreszcie odzyskałam głos, rozdarłam się na całe gardło i pobiegłam korytarzem pod drzwi pani Wyvern, których o mało nie wyszarpnęłam z zawiasów, napędzając jej okropnego stracha.

Domyślacie się pewnie, że tej nocy nie zmrzyłam oka, a o pierwszym brzasku co sił w nogach pogałam na dół do ciotki.

Ciotka ani mnie nie wyśmiała, ani nie złażała, choć tego się spodziewałam, wzięła mnie tylko za rękę i nie spuszczała oczu z mej twarzy. Powiedziała, że mam się nie bać, i pyta:

— Czy zjawa miała klucz w dłoni?

— Tak — mówię, bo teraz sobie to przypomniałam. — Duży klucz z dziwnym mosiężnym kółkiem.

— Poczekaj chwilę — ona na to, puszcza mą rękę i otwiera drzwiczki kredensu. — Podobny do tego? — pyta biorąc klucz w palce i pokazując mi go z tajemniczą miną.

— Identyczny — odpowiadam bez namysłu.

— Jesteś pewna? — pyta i obraca go w palcach.

— Głowę daję. — Mówiąc to czuję, że zaraz zemdleję.

— Cóż, to wystarczy, moje dziecko — odpowiada wyrozumiale i na powrót zamyka go w szafce. — Dziedzic przybywa dzisiaj przed dwunastą we własnej osobie, jemu wszystko to musisz powtórzyć — rzecze z namysłem. — I ja pewnie długo miejsca tu nie zagrzeję, więc na razie będzie najlepiej, jeśli po południu pojedziesz do domu, a ja, jak tylko będę mogła,

rozejrzę się za czymś dla ciebie.

Możecie sobie wystawić, jaka byłam rada.

Ciotka mnie spakowała, miałam też wziąć ze sobą należne mi trzy funty. Tego dnia zjawił się w Applewale dziedzic Crowl, przystojny mężczyzna około trzydziestki. Widziałam go wtedy po raz drugi, ale po raz pierwszy się do mnie odezwał.

Ciotka rozmawiała z nim w swoim pokoju, ale nie wiem o czym. Troszkę się bałam dziedzica, bo wielki to był pan tam w Lexhoe, i nie śmiałam się do niego zbliżyć bez wezwania. A on powiada z uśmiechem:

— Coś ty tam takiego widziała, moje dziecko? Musiało ci się przyśnić, bo wiesz przecież, że czegoś takiego jak strach czy zjawy nie ma na całym świecie. Ale mniejsza z tym, moja mała, siadaj i opowiadaj wszystko po kolei.

Ledwie doszłam do końca, zastanowił się i po chwili rzecze do mojej ciotki:

— Dobrze to miejsce pamiętam. Za czasów starego sir Olivera kulawy Wyndel mówił mi, że w tej wnęce są drzwi, z lewej strony, tam, gdzie dziewczusce śniła się moja babka z kluczem. Wyndel miał po osiemdziesiątce, kiedy mi to mówił, a ja byłam chłopcem. Od tego czasu upłynęło dwadzieścia lat. Dawniej trzymali tam srebra stołowe i biżuterię, zanim w pokoju z gobelinami zrobiono schowek z żelaza. Twierdził też, że klucz miał mosiężne kółko, a taki klucz, jak pani mówi, znalazł się na dnie skrzyni z jej wachlarzami. Śmiesznie byłoby znaleźć tam jakieś zapomniane łyżki czy brylanty. Musisz pójść z nami, mała, i dokładnie wskazać nam miejsce

Usłuchałam niechętnie i z sercem w gardle, mocno ściskając rękę ciotki, weszłam do tego straszego pokoju. Pokazałam obojgu, jak się pojawiła i prześliznęła koło mnie, gdzie stała i gdzie drzwi się zdały otwierać.

Kiedy tam weszliśmy, pod ścianą znajdowała się stara pusta bielizniarka, a po jej odsunięciu rzeczywiście dojrzelśmy zarys drzwi w boazerii i dziurkę od klucza zatkaną drewnianym kołeczkiem, gładko przyheblowanym jak cała reszta. Szpary dokoła drzwi były uszczelnione kitem w kolorze dębu i gdyby nie zawiasy widoczne po odsunięciu bielizniarki, nikt by się nie domyślił ich istnienia.

— Ha! — powiedział dziedzic z dziwnym uśmiechem — to mi wygląda na ten schowek.

Przez parę minut małym dłutkiem i młotkiem wydłubywał drewnianą zatyczkę z dziurki od klucza. Klucz pasował jak ulał, a mocno przekręcony wydał przeciągły zgrzyt, po czym rygiel ustąpił i drzwi się otwarły.

Za nimi były drugie drzwi, dziwniejsze od pierwszych, ale bez zamków, więc łatwo się otwierały. Schowek miał wąską podłogę, ściany i ceglane sklepienie. Nie wiedzieliśmy, co tam jest, bo ciemności były gęste jak smoła.

Moja ciotka zapaliła świecę, a dziedzic uniósł ją i wszedł do środka.

Ciotka wspinała się na palce, żeby mu zajrzeć przez ramię, ja nie widziałam w ogóle nic.

— Cha, cha! — powiada cofając się dziedzic. — Co to takiego? Proszę mi dać pogrzebacz, ale duchem! — mówi do mojej ciotki. Kiedy podeszła do kominka, zerknęłam mu pod ręką i zobaczyłam przykucniętą w rogu małą albo najbardziej pomarszczoną i zasuszoną staruszczkę, jaką świat widział.

— Jak Bożę kocham — powiada moja ciotka wtykając mu do ręki pogrzebacz i spoglądając nad jego ramieniem na to szkaradzieństwo — proszę uważać, co pan robi. A ty zmykaj i zamknij za sobą drzwi.

Ale on wchodzi ostrożnie, z pogrzebaczem nastawionym jak miecz, i szturcha to coś, a to się rozpada, głowa i cała reszta, i zostaje tylko kupka kości i prochu, nie więcej, niżby pomieścił kapelusze.

Były to kości dziecka; reszta zamieniła się w pył pod dotknięciem. Przez chwilę nic nie

mówili, lecz on odwrócił czaszkę leżącą na podłodze.

Chociaż taka byłam młodziutka, wydawało mi się, że na wylot przejrzałam ich myśli.

— Zdechły kot! — powiada cofając się dziedzic, zdmuchuje świecę i zamyka drzwi. — Wrócimy tu później we dwoje z panią Shutters i po kolei przejrzymy półki. Najpierw muszę z panią pogadać o innych sprawach, a podobno to dziewczątka wraca dziś do domu. Dostała już zapłatę, ale muszę jej zrobić prezent — mówi i poklepuje mnie po ramieniu.

Rzeczywiście dał mi złotego funta, a w jakąś godzinę później pojechałam do Lexhoe i stamtąd dyliżansem do domu, rada znów się znaleźć wśród swoich. I Bogu dzięki nigdy więcej nie widziałam już starej pani Crowl z Applewale ani we śnie, ani na jawie. Ale kiedy dorosłam, moja ciotka spędziła u mnie jedną dobę w Littleham i wtedy mi powiedziała, że na pewno był to ten biedny dawno zaginiony chłopczyk, którego ta wstrętna megiera skazała na śmierć w tej ciemnicy, skąd jego krzyków, błagań ani dobijania do drzwi nie było słyhać. Jego kapelusz ktoś porzucił nad wodą, nie wiadomo kto, żeby wyglądało, że mały utonął. Za pierwszym dotknięciem ubranko rozsypało się w proch w tej komórce, gdzie znaleźliśmy kości. Ale pozostała garść dżetowych guzików i nożyk z zieloną rączką, a także parę pensów, które biedny malec musiał mieć w kieszeni, kiedy go tam zwabiono i po raz ostatni widział światło dzienne. A dziedzic miał w swych papierach odbitkę ogłoszenia wydrukowanego po zaginięciu chłopca przez starego dziedzica w nadziei, że może syn uciekł z domu albo porwali go Cyganie. W tym ogłoszeniu było napisane, że chłopiec miał przy sobie nożyk z zieloną rączką i rżnięte dżetowe guziki. No to tyle mam do powiedzenia o starej pani Crowl z Applewale House.

*Przełożyła Zofia Zinserling*

E. F. BENSON

## JAK Z DŁUGIEJ GALERII ZNIKNAŁ STRACH

Church-Peveril to dom tak osaczony i nawiedzany przez duchy, które się tam widuje i słyszy, że nikt z rodziny, mieszkającej pod dachami z zaśniedziałej miedzi, o powierzchni półtora akra, nie traktuje poważnie tych nadzmysłowych zjawisk. Dla Peverilów bowiem pojawienie się ducha ma nie większe znaczenie niż widok karetki pocztowej dla tych, którzy zamieszkują pospolitsze domostwa. To znaczy, że duch pojawia się prawie co dzień, puka lub hałasuje w inny sposób, można go dostrzec na podjeździe lub gdzie indziej. Ja sam, przebywając w tym domu, widziałem. Jak pani Peveril, osoba o dość krótkim wzroku, wpatrywała się w mrok za oknem, gdy po obiedzie piliśmy kawę na tarasie, i powiedziała do córki:

— Moja droga, czy to nie Błękitna Dama zniknęła przed chwilą w krzakach? Mam nadzieję, że nie przestraszy Flo. Zagwizdź na Flo, kochanie.

Należy dodać, że Flo to najmłodszy i najpiękniejszy z licznych jamników.

Blanche Peveril gwizdnęła od niechcienia, a potem olśniewająco białymi ząbkami schrupała cukier, który pozostał nie rozpuszczony na dnie filiżanki.

— Moja kochana, Flo nie jest taka głupia, by zwracać na nią uwagę. Biedna błękitna ciotka Barbara to prawdziwa nudziara! Ile razy ją spotykam, zawsze wygląda tak, jakby chciała do mnie przemówić, ale gdy pytam: „O co ci chodzi, ciociu Barbaro?”, nie odpowiada, tylko nieokreślonym gestem wyciąga rękę w kierunku domu. Sądzę, że chciała coś wyznać przed dwustu laty, ale wyleciało jej to z pamięci.

W tym momencie Flo szczerknęła parę razy wesoło i wynurzyła się z krzaków machając

ogonem i skacząc wokół czegoś, co mnie wydało się zupełnie pustym miejscem na trawniku.

— No, proszę! Flo się z nią zaprzyjaźniła — powiedziała pani Peveril — Zastanawiam się, dlaczego ona ubiera się w ten niebieski kolor o tak idiotycznym odcieniu.

Można z tego wywnioskować, że nawet jeśli chodzi o zjawiska metapsychiczne, jest coś z prawdy w przysłowiu, które mówi o poufałości i znajomości. Peverilowie nie traktują jednak swoich duchów z pogardą, gdyż większość tej przemiętej rodziny nie pogardzała nigdy nikim poza ludźmi, którzy otwarcie nie interesowali się polowaniami, strzelaniem i bronią, golfem czy łyżwiarstwem. A że wszystkie ukazujące się zjawy należą do ich rodziny, słusznie można chyba sądzić, że ci zmarli, nawet biedna Błękitna Dama, celowali niegdyś w sportach na świeżym powietrzu. Nie wzbudzają zatem nieżyczliwości czy lekceważenia, lecz tylko litość. Jednego ze swych przodków, który skręcił kark, próbując daremnie wjechać na schody na rasowej klaczy, Peverilowie nawet szczerze lubią. Blanche schodzi rano na dół z błyszczącym wzrokiem, kiedy może oznajmić, że Anthony „bardzo hałasował” w nocy. Poza faktem, że był on ohydny brutal, miał w okolicy reputację stuprocentowego mężczyzny i rodzina lubi wzmianki, świadczące o ciągłości jego niespożytych sił witalnych. W istocie otrzymanie w czasie pobytu w Church-Peveril pokoju odwiedzanego przez nieżyjących już członków rodziny uważać należy za uprzejme wyróżnienie. Oznacza ono, że jesteś godny spojrzeć na niegodziwego dostojnego nieboszczyka, że zostaniesz wprowadzony do wysoko sklepionej komnaty, zdobionej gobelinami, lecz pozbawionej elektryczności, i powiadomiony, że praprababcia Bridget ma od czasu do czasu jakiś interes przy kominku, ale lepiej się do niej nie odzywać, i że usłyszysz Anthony'ego „aż za dobrze”, jeśli będzie próbował wejść w nocy na frontowe schody.

Zostawia cię tam na noc i gdy drżącymi rękami się rozbierzesz, zaczniesz się ociągać ze zgaszeniem świecy. W tych ogromnych komnatkach panują przeciągi, więc wspaniałe arrasy kołyszą się, wznoszą i opadają, a ogień na kominku rzuca blaski, które tańczą na postaciach myśliwych, wojowników i ścigających się łodzi. Potem wdrapiasz się do łóżka, tak olbrzymiego, że doznasz wrażenia, jakby roztaczała się wokół ciebie Sahara, i zaczniesz jak żeglarze, którzy płynęli ze świętym Pawłem, modlić się, aby jak najprędzej wstał dzień. A cały czas uświadamiasz sobie, że Freddy, Harry i Blanche, a może nawet pani Peveril, mogą się przebrać i niepokoić cię stukając za drzwiami, gdy je zaś otworzysz, staniesz wobec jakiejś nieoczekiwanej okropnej zjawy. Co do mnie utrzymywałem stanowczo, że cierpię na rzadką chorobę serca, wobec czego spałem spokojnie, nie niepokojony niczym, w nowym skrzydle domu, gdzie ciotka Barbara, praprababcia Bridget i Anthony nigdy się nie pojawiali. Zapomniałem szczegóły dotyczące praprababci Bridget, ale z pewnością poderżnęła ona gardło jakiemuś dalszemu krewnemu, a potem wypruła sobie wnętrzności używając do tego topora z bitwy pod Azincourt. Przedtem wiodła bardzo bujne życie, pełne niezwykłych przygód.

Jest jednak w Church-Peveril duch, z którego rodzina nigdy nie żartuje, który nie budzi przyjaznego, żartobliwego zainteresowania i o którym mówią tylko tyle, ile trzeba dla bezpieczeństwa swoich zjaw. Bardziej właściwe byłoby wspomnieć w tym wypadku o dwóch duchach, pojawia się bowiem para maleńkich dzieci, które były bliźniakami. Nie bez powodu rodzina traktuje je bardzo poważnie. Ich historia, według tego, co opowiadała mi pani Peveril, jest następująca:

W roku 1602, ostatnim roku panowania królowej Elżbiety, niejaki Dick Peveril cieszył się wielkimi łaskami na dworze. Był on bratem pana Josepha Peverila, ówczesnego właściciela siedziby i dóbr rodzinnych, który dwa lata przedtem w godnym szacunku wieku siedemdziesięciu czterech lat został ojcem dwóch chłopców bliźniaków, pierwszych swoich potomków. Podobno stara królowa dziewica powiedziała do pięknego Dicka, który był prawie czterdzieści lat młodszy od brata:

— Szkoda, że nie jesteś panem Church-Peveril.

Pod wpływem tych słów może wykuł się w jego mózgu zbrodniczy zamiar. Tak czy inaczej, piękny Dick wyruszył do Yorkshire i stwierdził, że bardzo w porę, bo brat jego Joseph w wyniku długiego okresu upałów połączonego z koniecznością gaszenia pragnienia zwiększoną ilością białego wina dostał ataku apopleksji i zmarł właśnie wtedy, gdy piękny Dick z Bóg wie jakimi myślami w głowie zdążył na północ. Przybył do Church-Peveril akurat na pogrzeb brata. Uczestniczył w nim jak należy, a potem spędził dzień czy dwa opłakując zmarłego wraz ze swą owdowiałą bratową, bojaźliwą panią, nie bardzo nadającą się do obcowania z takim „jastrzębiem”. Drugiej nocy swego tam pobytu uczynił to, czego Peverilowie po dziś dzień żałują. Wszedł do pokoju, gdzie bliźnięta spały z niańką, i spokojnie udusił ją we śnie. Potem wziął chłopców i wrzucił w ogień pałacy się w długiej galerii. Pogoda, aż do dnia śmierci Josepha upalna, zmieniła się nagle. Zrobiło się przenikliwie zimno, więc na kominku płonął wysoki stos drewnianych polan. W sam środek tego żaru rzucił jak do krematorium dzieci i przydepnął je nogami w wysokich butach. Umiały już chodzić, ale nie potrafiły wyjść z tych płomieni. Opowiadano, że piękny Dick śmiał się dorzucając polan. W ten sposób został panem Church-Peveril.

Nie udowodniono mu nigdy tej zbrodni, lecz żył tylko rok ciesząc się dziedzictwem splamionym krwią. Na łożu śmierci wyspowiadał się przed księdzem, który był przy nim, ale dusza opuściła cielesną powłokę, nim padły słowa absencji. Tej samej nocy w Church-Peveril zaczęło straszyć, o czym do dziś wspomina się w rodzinie rzadko, cicho i z wielką powagą. Bo zaledwie w godzinę czy dwie po śmierci pięknego Dicka jeden ze sług, przechodząc pod drzwiami prowadzącymi do długiej galerii, usłyszał spoza nich wybuchy śmiechu, jowialnego, ale i złowieszczonego, śmiechu, którego nie spodziewał się już w tym domu usłyszeć. W momencie szaleńczej odwagi, tak bliskiej śmiertelnego przerażenia, otworzył drzwi i wszedł spodziewając się zobaczyć widmo tego, który leżał martwy w pokoju na dole. Zamiast tego ujrzał dwie małe białe ubrane postacie, trzymające się za ręce i drobnymi kroczkami zmierzające ku niemu po zalanej księżycowym światłem posadzce.

Czuwający przy zwłokach wbiegli po schodach, przerażeni odgłosem padającego ciała, i znaleźli sługę w strasznym szoku, leżącego na podłodze. Przed świtem odzyskał przytomność i opowiedział, co zobaczył. Potem wskazując szarym jak popiół palcem drzwi krzyknął głośno i padł martwy.

W ciągu następnych pięćdziesięciu lat straszna legenda o małych bliźniętach umocniła się i utrwaliła. Na szczęście dla mieszkańców domu pojawiały się niezmiernie rzadko: w ciągu tego półwiecza widziano je podobno tylko cztery czy pięć razy. W każdym przypadku ukazywały się w nocy, między zachodem a wschodem słońca, zawsze w tej samej długiej galerii i zawsze jako dwoje drobiańczych nóżkami dzieci, ledwie umiejących chodzić. I za każdym razem pechowiec, który je ujrzał, umierał szybko lub w sposób potworny, albo i szybko, i strasznie. Niekiedy żył jeszcze parę miesięcy. Miał szczęście, jeśli zmarł tak, jak ów sługa, który ujrzał bliźnięta po raz pierwszy, to znaczy po paru godzinach. O wiele okropniejszy był los niejakiej pani Canning. Miała ona nieszczęście zobaczyć je w połowie następnego stulecia, dokładnie w roku 1760. W tym czasie pora i miejsce pojawiania się tej zjawy były dobrze znane i do poprzedniego roku ostrzegano gości, że między zachodem a wschodem słońca nie należy wchodzić do długiej galerii.

Lecz pani Canning, kobieta piękna i wybitnie inteligentna, wielbicielka i przyjaciółka osławionego sceptyka Woltera, rozmyślnie chodziła w nawiedzane przez duchy miejsce i mimo wszystkich protestów przesiadywała tam noc po nocy. W ciągu czterech nocy nie zobaczyła nic, ale w piątą nastąpiło to, czego pragnęła. Otworzyły się drzwi pośrodku galerii i wyszła z nich zmierzając ku niej na chwiejnych nóżkach złowróźbna para niewiniątek. Chyba nawet wtedy się nie przestraszyła, lecz uznała, nieszczęsna, za słuszne wyśmiać bliźnięta, mówiąc im, że czas, by wróciły w ogień. Nic na to nie odpowiedziały, tylko odwróciły się od



niej krzyżąc i płacząc. Gdy tylko znikły, zbiegła na dół, gdzie czekali na nią rodzina i przebywający w domu goście, aby obwieścić triumfalnie, iż widziała bliźnięta i musi napisać do pana Woltera, że przemówiła do duchów. To go ubawi. Lecz gdy w parę miesięcy później dotarła do niego pełna wiadomość, nie śmiał się wcale.

Pani Canning była jedną z najpiękniejszych kobiet swoich czasów i w 1760 roku znajdowała się w najpełniejszym rozkwicie urody. Głównym jej szczegółem, jeśli można wyróżnić jakiś szczegół w owej niezwyklej urodzie, była cudowna, olśniewająca cera. Pani Canning miała wtedy trzydzieści lat, lecz mimo bujnego życia zachowała białoróżową dziewczęcą karnację i w przeciwieństwie do innych kobiet starała się ukazywać w pełnym blasku dnia, gdyż to uwydatniało jej piękną cerę. Dlatego ogromnie się zatrwożyła pewnego ranka, jakieś dwa tygodnie po niezwyklej przeżyciu w długiej galerii, gdy na swym lewym policzku, cał lub dwa cale poniżej turkusowych oczu, zauważyła szarą plamę wielkości trzypensowej monety. Daremnie stosowała znane jej płyny i maści, daremne też okazały się zabiegi kosmetyczki i medyka. Przez tydzień nie pokazywała się nikomu, udręczona samotnością i niezwyklej medykamentami, lecz pod koniec tygodnia nie nastąpiła poprawa, którą mogłaby się pocieszyć. Zamiast tego nieszczęsna szara plama powiększyła się dwukrotnie. A potem nieznaną chorobą rozwinęła się w nowy, straszliwy sposób. Ze środka szarej plamy wyrosły małe zielonkawe wąsy, przypominające porosty, a na dolnej wardze pojawiła się druga plama. I ona wkrótce cię rozrosła, aż pewnego ranka kobieta, otworzywszy oczy, w oczekiwaniu okropności nowego dnia, stwierdziła, że ma wzrok dziwnie zamglony. Skoczyła do lustra i krzyknęła głośno z przerażenia na widok tego, co ujrzała. Spod górnej powieki wyrosła w ciągu jednej nocy podobna do grzyba, a jej odrosty kierowały się w dół, zasłaniając źrenicę oka. Wkrótce potem inne narośle zaatakowały gardło i język. Dopływ powietrza został zahamowany i śmierć z uduszenia stała się wybawieniem od tych potwornych cierpień.

Jeszcze okropniejszy był przypadek pułkownika Blantyre'a, który strzelił do bliźniąt z rewolweru. Nie można tu opisać tego, przez co przeszedł.

Odwiedziny tej zjawy Peverilowie traktują poważnie i każdy gość po przybyciu do ich domu zostaje ostrzeżony, by pod żadnym pozorem nie wchodził po zmroku do długiej galerii. W dzień jest to jednak bardzo miłe pomieszczenie, którego wnętrzu zasługuje, by je przedstawić, pomijając fakt, że należyte zrozumienie topografii jest konieczne dla opisu, który nastąpi. Galeria ma pełne osiemdziesiąt stóp długości, a oświetla ją rząd sześciu wysokich okien, wychodzących na ogrody za domem. Drzwi łączą ją z podestem u szczytu głównej klatki schodowej, a mniej więcej w połowie ściany naprzeciw okien znajdują się drugie drzwi, wychodzące na boczne schody i pokoje zamieszkałe przez służbę, galeria jest więc miejscem, przez które służba wciąż przechodzi idąc do pokoiów na pierwszym piętrze. Tymi drzwiami właśnie weszły bliźnięta, gdy się ukazały pani Canning, a także przy kilku innych okazjach, bo pokój, z którego zabrał je piękny Dick, znajduje się trochę dalej, u szczytu bocznych schodów. W galerii jest kominek, do którego wrzucił dzieci, a w jej końcu wykuszowe okno z widokiem na aleję w dole. Nad kominkiem wisi jak ponury symbol portret pięknego Dicka w całej zuchwałej piękności wczesnego męskiego wieku, przypisywany Holbeinowi, a naprzeciw okien kilkanaście innych cennych portretów. Jest to najbardziej używany za dnia pokój w całym domu, bo goście z zaświatów nigdy się tu wtedy nie pojawiają ani nie rozbrzmiewa ochrypli jowialny śmiech pięknego Dicka, który po zmroku słyszą czasem osoby przechodzące po podeście. Blanche nie rozjaśnia się jednak, kiedy go słyszy. Zatyka uszy i przyspiesza kroku, by zwiększyć odległość między sobą a tym potwornym rechotem.

W ciągu dnia do galerii przychodzi wiele osób i rozlega się tam wiele śmiechu wcale nie ponurego czy złowieszczonego. Kiedy słońce w lecie praży gorącymi promieniami ziemię, przebywający w galerii rozsiadają się na ławach we wnękach okiennych, a gdy zima wyciąga lodowate palce i dmie przenikliwie w swoje zmarznięte dłonie, gromadzą się wokół kominka

i siedzą słuchając wesołych gawędziarzy na kanapie, na fotelach i na podłodze. I ja często siedziałem tam w długie sierpniowe przedwieczory, aż do chwili gdy trzeba było iść się przebrać, ale kiedy ktoś miał ochotę pozostać w galerii po zmroku, słyszałem zawsze ostrzeżenie:

— Już blisko zachód, może stąd wyjdziemy?

Później, w krótsze jesienne dni, podawano często w galerii herbatę i zdarzało się, że wśród najbardziej ożywionej rozmowy pani Peveril patrzyła nagle w okno i mówiła:

— Moi drodzy, tak już późno. Skończymy te bajania na dole w hallu.

Zapadała cisza, milkli zarówno goście, jak gadatliwa rodzina, i jakby podano nam przed chwilą złą wiadomość, wychodziliśmy wszyscy bez słowa. Lecz duch Peverilów (myślę o tych żyjących) jest niespożyty, więc nastrój przygnębienia, jaki budzi w nich myśl o pięknym Dicku i jego wyczynie, mija zadziwiająco szybko.

Właśnie takie towarzystwo, liczne, młode i wyjątkowo wesołe, przebywało w Church-Peveril w ubiegłym roku po Bożym Narodzeniu i jak zawsze 31 grudnia pani Peveril wydawała doroczny bal sylwestrowy. Przez kilka ubiegłych dni silny bezwietrzny mróz uniemożliwił polowanie, ale nie ma złej bezwietrzności, która na dobre nie wychodzi (jeśli można tak strawestować przysłowie): jezioro leżące poniżej domu pokryła w ciągu dwóch dni pokrywa lodowa wystarczająca do jazdy na łyżwach. Przez cały więc ranek zajęcia byliśmy manewrami na śliskiej tafli, a zaraz po lunchu wszyscy, z jednym wyjątkiem, wybiegliśmy znów na ślizgawkę. Tym wyjątkiem była Madge Dalrymple, która parę godzin przedtem nieszczęśliwie upadła, miała jednak nadzieję, że gdy ze stłuczonym kolaniem poleży spokojnie, zamiast wracać na lód z innymi łyżwiarzami, będzie mogła wieczorem tańczyć. Nadzieja ta była mocno optymistyczna, bo do domu wróciła z trudem, utykając okropnie, lecz z wesołym optymizmem, który cechuje Peverilów (Madge jest cioteczną siostrą Blanche), zauważyła, że jazda na łyżwach w obecnym stanie byłaby niewielką przyjemnością, poświęca więc mało, mogąc zyskać wiele.

Wypiwszy szybko kawę, którą podano w długiej galerii, zostawiliśmy Madge wyciągniętą wygodnie na kanapie przy kominku, z ciekawą książką dla osłodzenia nudy aż do pory herbaty. Należąc do rodziny, wiedziała wszystko na temat pięknego Dicka i bliźniąt oraz losu pani Canning i pułkownika Blantyre'a, lecz gdy wychodziliśmy, usłyszałem, jak Blanche powiedziała do niej:

— Uważaj na czas, kochanie.

A Madge odrzekła:

— Wyjdę stąd przed zachodem słońca.

Zostawiliśmy ją zatem samą w długiej galerii.

Madge czytała przez parę minut, lecz gdy zainteresowanie lekturą osłabło, odłożyła książkę i pokuśtykała do okna. Choć było dopiero po drugiej, do galerii sączyło się blade i przyćmione światło, bo krystaliczną promienność poranka zastąpił półmrok spowodowany gęstymi chmurami napływającymi leniwie z północnego wschodu. Całe niebo już się nimi pokryło, za oknami wirowały opadając w dół rzadkie płatki śniegu. Madge wydawało się, że ciemne, zimne popołudnie zapowiada bliską już gęstą śnieżycę. Te zewnętrzne znaki odbijały się w niej samej: odczuwała senne otępienie, które ludziom wrażliwym na zmiany pogody i ciśnienia zwiastuje burzę. Madge była szczególnie podatna na tego rodzaju wpływy. Rześki ranek napełniał jej umysł niezwykłą jasnością i bystrością, chmurna pogoda wywoływała senność i uczucie przygnębienia.

W takim właśnie nastroju dokuśtykała z powrotem do kanapy przy kominku. Cały dom był dobrze ogrzewany rurami centralnego ogrzewania. Choć ogień podsycany polanami drzewa i torfem płonął powoli, w pokoju było bardzo ciepło. Wpatrywała się leniwie w malejące płomienie, nie otwierając już książki. Leżała na kanapie z twarzą zwróconą w kierunku ognia,

myśląc sennie o tym, że niebawem, lecz jeszcze nie zaraz, pójdzie do swego pokoju i zanim łyżwiarze napelnia dom radosnym gwarem, napisze parę zaległych listów. Wciąż sennie zaczęła rozmyślać o tym, co musi napisać. Jeden list, już o kilka dni spóźniony, trzeba wysłać do matki, która interesuje się niezwykle nadnaturalnymi zjawiskami w rodzinie. Opisze jej, że pan Anthony był niezwykle hałaśliwy dwie noce temu, a Błękitna Dama, mimo mroźnej pogody, ukazała się pani Peveril tego ranka spacerując po ogrodzie. Było to dość ciekawe. Błękitna Dama szła alejką wawrzynową i pani Peveril widziała, że weszła do stajni, gdzie właśnie Freddy Peveril oglądał przemarznięte myśliwskie konie. Podobnie jak ludzi, nagły strach ogarnął stajnie, konie rżały, biły kopytami, płoszyły się i oblewały potem. Pechowych bliźniąt nikt od lat nie widział, lecz — jak wiadomo było jej matce — Peverilowie nie przebywali nigdy w długiej galerii po zmroku.

Usiadła na chwilę, przypomniawszy sobie, że się tu właśnie znajduje. Ale było dopiero parę minut po pół do trzeciej i jeśli pójdzie do swego pokoju za pół godziny, będzie miała dość czasu, żeby napisać ten list i jeszcze drugi przed herbatą. Tymczasem poczyta książkę. Spostrzegła jednak, że zostawiła ją na parapecie okna, a nie chciało jej się wstać po nią. Czula się okropnie senna.

Kanapa, na której leżała, została świeżo pokryta szarozielonym aksamitem, przypominającym barwą porosty. Aksamit był gruby i miękki, wyciągnęła więc wygodnie ręce wzdłuż ciała i przycisnęła palcami tkaninę. Cóż za okropna historia z tą panią Canning: narosł na jej twarzy miała kolor porostów. Nie myśląc już o niczym i nie czując zmęczenia myśli, Madge usnęła.

Miała sen. W tym śnie zbudziła się tam, gdzie usnęła i w tej samej pozycji. Polana na kominku płonęły, błyski ognia skakały po ścianach, oświetlając chwilami portret pięknego Dicka. Wiedziała we śnie dokładnie, co dzisiaj robiła i dlaczego leży tutaj zamiast być na lodzie z innymi łyżwiarzami. Pamiętała także (wciąż we śnie), że zamierzała napisać przed herbatą parę listów, i przygotowała się do wstania, by pójść do siebie. Uniósłszy się trochę, dostrzegła własne ręce leżące wzdłuż ciała na szarozielonej kanapie. Lecz nie mogła dojrzeć, gdzie się kończą, a gdzie zaczyna się szary aksamit: palce jakby zlały się z tkaniną. Widziała wyraźnie przeguby rąk i błękitne żyłki na grzbietach dłoni, a także knykcie niektórych palców. A potem przypomniała sobie, o czym myślała tuż przedtem, nim usnęła, to znaczy o narosłach barwy porostów na twarzy, oczach i gardle pani Canning. Na tę myśl zaczął ją ogarniać dławiący strach przed prawdziwym koszmarem: wiedziała, że się zmienia w tę szarą materię i zupełnie nie może się poruszyć. Niebawem szarość rozszerzy się na ręce i nogi. Kiedy tamci wrócą ze ślizgawki, zastaną tu tylko ogromną, niekształtną aksamitną poduszkę barwy porostów — i to będzie ona. Ogarnął ją jeszcze większy lęk. Z największym wysiłkiem wyrwała się gwałtownie ze złego snu. Obudziła się.

Przez parę minut leżała świadoma jedynie ogromnej ulgi, że już nie śpi. Dotknęła znów palcami miękkiego aksamitu i przesuwając nimi po materiale, upewniając się, że się nie stopiła z tą puszystą szarością, jak czuła we śnie. Lecz nadal, mimo nagłego przebudzenia, była bardzo senna i leżała tak długo, aż zdała sobie sprawę, że nie widzi już własnych rąk. Było prawie ciemno.

W tym momencie rozbłysnął nagle migotliwym płomieniem dogasający ogień rozjaśniając pokój. Z portretu piękny Dick spoglądał na nią złym okiem, widziała znowu swoje ręce. I wtedy ogarnął ją strach jeszcze większy niż we śnie. Światło dzienne już zupełnie znikło. Wiedziała, że jest sama w ciemnej strasznej galerii. Bała się tak jak w zmorze sennej, bo czuła, że nie może się poruszyć. Było to jeszcze gorsze niż zły sen, wiedziała, że nie śpi. I nagie stało się dla niej jasne, dlaczego ją paraliżuje strach: wiedziała, wiedziała z całkowitą pewnością, że zaraz ujrzy małe bliźnięta.

Pot wystąpił jej na twarz, a w ustach i w gardle czuła suchość. Język ocierał się szorstko o wewnętrzną powierzchnię zębów. Opuściła ją zdolność poruszania się, członki miała bez-

władne i martwe. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w mrok. Płomień z palącego się torfu zgasł znowu i otoczyła ją ciemność.

I wtedy na ścianie na wprost okien pojawiło się nagle ciemnoczerwone światełko. Przez chwilę myślała, że zapowiada ono zbliżanie się okropnej zjawy, potem nadzieja odżyła w jej sercu, gdyż pamiętała, że szare chmury pokryły niebo nim usnęła, więc światełko to może odblask słońca, które jeszcze nie całkiem zaszło. Ten nagły powrót nadziei dodał jej bodźca — zerwała się z kanapy, na której leżała. Spojrzała w okno i na horyzoncie zobaczyła przyćmioną lunę. Zanim jednak zdążyła zrobić krok naprzód, znów zapadła ciemność. Z paleniska błysnęła iskierka, lecz oświetliła jedynie kafle kominka i gęsty padający na szyby śnieg. Poza tym nie było nic widać ani słychać.

Odwaga, która dała jej siłę do ruszenia się, niezupełnie ją jeszcze opuściła. Zaczęła po omacku iść wzdłuż galerii. Stwierdziła jednak, że się zgubiła. Potknęła się o krzesło, a przyszedłszy do siebie wpadła na drugie. Potem stół zagroził jej drogę. Obracając się szybko uderzyła w tył kanapy. Odwróciła się znowu i ujrzała słaby blask ognia na kominku po przeciwnej stronie, niż spodziewała się go zobaczyć. Szukając po omacku drogi zmieniała widać kierunek. Ale w którą stronę powinna teraz iść? Wydawało się, że meble blokują jej drogę. A przez cały czas natarczywie nasuwał się na myśl groźny fakt, że dwa straszne małe duchy lada chwila się ukazą.

Zaczęła się w myślach modlić: „Panie, rozjaśnij ciemności, w których pogrążeni jesteśmy...” Dalszego ciągu modlitwy nie mogła sobie przypomnieć, a tak bardzo jej potrzebowała. Było tam coś o nocnych niebezpieczeństwach. Przez cały czas macała wokół siebie drżącymi rękami. Tłący się ogień, który powinien się znajdować po lewej stronie, błyskał po prawej. Musiała więc znowu się obrócić. — Rozjaśnij ciemności — szepnęła, a potem powtórzyła to samo głośno.

Potknęła się o parawan, nie mogła sobie przypomnieć, czy był w ogóle jakiś parawan. Macając nerwowo przestrzeń wokół niego dotknęła czegoś miękkiego jak aksamit. Czy to kanapa, na której leżała? Jeśli tak, to gdzie jest wezgłowie? Kanapa miała wezgłowie, oparcie i nogi — jak człowiek, wszystko pokryte szarym porostem. Wtedy całkowicie straciła opanowanie. Pozostała jej tylko modlitwa. Była zagubiona, zagubiona w tym strasznym miejscu, gdzie po ciemku nie przychodzi nikt prócz płaczących dzieci. Usłyszała własny głos, przechodzący od szeptu do głośnej mowy, od mowy do krzyku. Wykrzykiwała pobożne słowa, wyrzaskiwała je, jakby bluźniła, macając rękami pośród stołów, foteli i drobiazgów umilających codzienne życie, które stały się teraz tak straszne.

Na swoją wykrzychaną modlitwę otrzymała nagle okropną odpowiedź. Na palenisku zapłonął znów na chwilę tłący się torf rozjaśniając pokój. Ujrzała złe oczy pięknego Dicka i widome gęste płatki śniegu za oknem. I zobaczyła, że znajduje się naprzeciw drzwi, przez które wchodziły straszne bliźnięta. Płomień zgasł i znowu pozostała w ciemności. Lecz coś zyskała: wiedziała teraz, jak się poruszać. Na środku pokoju nie było żadnych mebli. Jednym skokiem mogła znaleźć się przy drzwiach na podeście głównych schodów — i bezpieczna. W krótkim błysku ognia zdołała dojrzeć klamkę drzwi, mosiężną, lśniącą, jasną jak gwiazda. Pójdzie prosto do niej, to kwestia paru sekund.

Wciągnęła głęboki oddech, częściowo z ulgą, a częściowo dla uspokojenia bijącego szybko serca. Lecz w połowie oddechu zamarła znowu w bezruchu sama jak nocna zjawy.

Od strony drzwi, naprzeciw których stała i przez które wchodziły bliźnięta, dobiegł cichy szept. Na dworze nie było całkiem ciemno, bo dojrzała, jak drzwi się otworzyły. I stanęły w nich obok siebie dwie małe białe postacie. Nie widziała wyraźnie ich twarzy i kształtów, ale te dwie figurki szły ku niej. Wiedziała, że to duchy budzące strach, choć niewinne temu, że muszą przynosić ludziom zgubę, tak samo niewinne jak ona. Momentalnie zdecydowała, co robi. Nie wyrzuciła im krzywdy, nie wyśmiewała się z nich, bo to tylko dzieci, które przez złego niegodziwego człowieka poniosły śmierć w płomieniach. Na pewno do ich duszy-

czek znajdzie przystęp ktoś do nich podobny, kto nie ma na sumieniu winy zasługującej na zgubę, jaką one z sobą przynoszą. Gdyby je ubłagała, mogłyby się zlitować, powstrzymać od rzucenia na nią przekleństwa, pozwolić jej wyjść stąd spokojnie, bez wyroku śmierci lub widma rzeczy gorszych od śmierci. Wahała się tylko przez moment. Potem uklękła i wyciągnęła ku nim ręce.

— O, moje kochane maleństwa — powiedziała. — Ja tylko zasnęłam, nic złego nie zrobiłam...

Urwała. Wrażliwe dziewczęce serce nie pozwoliło jej dłużej myśleć o sobie, myślała tylko o nich, o tych małych niewinnych duszyczkach, na których ciąży potworna klątwa, które przynoszą śmierć tam, gdzie inne dzieci niosą śmiech i radość. Ci jednak, którzy do tychczas ujrzeli bliźnięta, bali się ich lub z nich szydzili.

Z chwilą gdy zbudziła się w niej litościwa myśl, poczuła, że strach opadł z niej jak pomarszczona łuska ze świeżych wiosennych pączków.

— Moje maleństwa, żal mi was — wyrzekła. — To nie wasza wina, że przynosicie ludziom to, co przynosić musicie. Ale ja się już nie boję. Tylko mi was żal. Niech was Bóg błogosławi, biedactwa kochane.

Podniosła głowę i popatrzyła na nie. Chociaż było ciemno, widziała teraz ich twarzyczki, choć zamglone i falujące niczym blade światło płomieni chwiejących się w przeciągu. Twarzyczki te nie były jednak żalosne ani zawzięte — uśmiechały się do niej nieśmiałym dziecięcym uśmiechem. I gdy tak na nie patrzyła, stawały się stopniowo coraz mniej wyraźne, rozplywały się z wolna jak snujące się w mroźnym powietrzu opary.

Madge nie poruszyła się, gdy znikły. Zamiast strachu ogarnęło ją uczucie dziwnego ukojenia. Była tak szczęśliwa i spokojna, że nie miała ochoty się poruszyć i mącić tego nastroju. Po chwili wstała z klęczek i szukając drogi po omacku, ale już nie gnębiona żadną zmorą, bez szalonego strachu, który ją przedtem poganiał, wyszła z długiej galerii i spotkała idącą właśnie na górę Blanche, pogwizdującą i wymachującą łyżwami.

— Jak twoja noga, kochanie? — spytała. — Już nie kulejesz.

Aż do tej chwili Madge nawet nie pomyślała o tym.

— Chyba jest w porządku — odrzekła. — Zapomniałam o niej. Blanche, nie bój się o mnie, ale... widziałam bliźnięta.

Twarz Blanche zbieleła z przerażenia.

— Co takiego? — spytała szeptem.

— Tak, widziałam je przed chwilą. Ale były mile, uśmiechały się, a mnie było ich żal. I jakoś jestem pewna, że nie mam się czego obawiać.

Madge miała rację, bo nic złego jej nie spotkało. To pewnie jej stosunek do bliźniąt — litość, współczucie zmogły i zniweczyły klątwę. Byłem w Church-Peveril w ubiegłym tygodniu, przyjechałem tam po zmroku. Gdy mijałem drzwi do galerii, wyszła stamtąd Blanche.

— A, to ty — powitała mnie. — Przed chwilą widziałam bliźnięta. Wyglądały rozkosznie i pozostały w galerii prawie dziesięć minut, A my teraz napijmy się tam herbaty.

*Przełożyła Jadwiga Olędzka*

ROBERT E. HOWARD

## NIE KOP MI GROBU

Grzmotowi podobny łomot staroświeckiej kołatki, grozą napełniający dom, wyrwał mnie z niespokojnego, dręczącego zwidami snu. Wyrzałem przez okno. W ostatnich baskach zachodzącego księżyca zobaczyłem bladą twarz mego przyjaciela, Johna Conrada.

— Kirowan, czy mogę wejść? — Głos miał rozdygotany z przejęcia.

— Oczywiście! — Słyszając, że wszedł frontem i idzie po schodach, wyskoczyłem z łóżka i włożyłem płaszcz kąpielowy.

Po chwili stał już przede mną, a gdy zapaliłem światło, spostrzegłem, że ręce mu drżą, a bladość jego twarzy jest doprawdy niezwykła.

— Stary John Grimlan zmarł przed godziną — oznajmił bez żadnych wstępów.

— Zmarł? Nie wiedziałem, że chorował.

— Dostał nagle bolesnego ataku osobliwej jakiejś choroby, podobnego do napadu epilepsji. Jak wiesz, ostatnimi czasy miewał takie ataki.

Przytaknąłem. Wiedziałem coś niecoś o tym starcu, który żył jak pustelnik w wielkim ciemnym domostwie na wzgórzu. Raz nawet byłem świadkiem jednego z tych ataków i przerażenie ogarnęło mnie na widok nieszczęśnika, który miotał się, jęczał i zawodził, wił się po ziemi jak ranny wąż, wykrzykiwał straszliwe przekleństwa i bluźnierstwa, aż głos jego przeszedł w charkot, a na wargach ukazywała się piana. Patrząc na to pojąłem, dlaczego w dawnych wiekach uważano takich chorych za opętanych przez szatana.

— ... jakaś dziwna skaza — mówi! Conrad. — Stary John niewątpliwie odziedziczył pewną wewnętrzną słabość wynikłą z jakiejś wstrętnej choroby, zapewne w spadku po dalekim protoplaście. Takie rzeczy się zdarzają. A może... wszak sam wiesz, John włóczył się po tajemniczych rejonach, przewędrował w młodości cały Wschód. Niewykluczone, że tam właśnie się zaraził tą tajemniczą chorobą. Jest wciąż tak wiele nie rozpoznanych infekcji w Afryce i na Wschodzie.

— Jednak nie powiedziałaś mi jeszcze — przerwałem — dlaczego przyszedłeś tak niespodziewanie o tej nieziemskiej porze. Jest już po północy.

Mój przyjaciel zmieszał się.

— Wiesz, chodzi o to, że John Grimlan zmarł samotnie, tylko ja byłem przy nim. Nie chciał żadnej pomocy lekarskiej, a w ostatnich chwilach życia, kiedy już oczywiste się stało, że umiera, a ja pomimo jego zakazów miałem już iść po lekarza, zaczął tak jęczeć i zawodzić, że nie mogłem odmówić jego błaganiom, żeby nie został sam w godzinie śmierci.

— Widziałem już umierających — dodał Conrad, ocierając pot z czoła — ale nigdy nie byłem świadkiem tak okropnego zgonu.

— Tak bardzo cierpiał?

— Wydawało się, że przechodzi fizyczne męczarnie, ale potworniejsze jeszcze męki ducha czy umysłu. Przeważenie, jakie biło z jego rozszerzonych źrenic i mrozącego krew w żyłach wycia, nie da się porównać z żadnym ziemskim strachem. Wierz mi, Kirowan, groza przeżywana przez niego większa była niż normalny strach przed tamtym światem, jaki okazują zwyczajni źli ludzie.

Poruszyłem się niespokojnie. Ponure przypuszczenie, ukryte za tymi słowami, przyprawiło mnie o zimny dreszcz.

— Słyszałem, że wieśniacy zawsze uważali, iż Grimlan w młodości zaprzedał duszę diabłu i te nagle ataki epilepsji były tylko widzialnym znakiem władzy szatana. Ale oczywiście to tylko głupie gadanie godne średniowiecza. Wiemy wszyscy, że aż do ostatniej chwili

prowadził bardzo złe życie. Nie bez powodu powszechnie go nienawidzono i bano się, nie słyszałem bowiem o żadnym jego dobrym uczynku. Byłeś jego jedynym przyjacielem.

— Dziwna to była przyjaźń — odparł Conrad. — Zbudziły ją jego niezwykle zalety, bo pomimo złego charakteru był człowiekiem bardzo wykształconym, odznaczał się wysoką kulturą umysłową. Zgłębiał nauki okultyistyczne i właśnie z tym związane było nasze pierwsze spotkanie, bo jak ci przecież wiadomo, zawsze bardzo się interesowałem tym kierunkiem badań.

— Ale w tym, podobnie jak w innych rzeczach, Grimlan był zły i przewrotny. Nie zwracał uwagi na jasne strony okultyzmu, pociągały go jedynie mroczne, posępne dziedziny wiedzy tajemnej: kult szatana, woodoo, shintoizm. Posiadał olbrzymią znajomość czarnej magii i bezbożnych nauk. Jego opowiadania o tych badaniach i eksperymentach budziły odrazę i przerażenie, podobnie jak widok jadowitego gada. Nie było otchłani, do których wahałby się zstąpić, a o pewnych sprawach czynił jedynie niejako wzmianki, nawet w rozmowach ze mną. Powiadam ci, Kirowan, łatwo się śmiać z opowieści o mrokach podziemnego świata znajdując się w miłym towarzystwie i w blasku słońca, ale gdybyś w nocnej porze siedział w dziwacznej bibliotece Johna Grimlana i patrząc na zbutwiałe ze starości woluminy słuchał jego budzących grozę słów, serce by ci zamierało z przerażenia, tak jak mnie, a zjawiska nadprzyrodzone wydawałyby ci się realne i bliskie, jak mnie.

— Ależ na Boga, człowieku! — zawołałem, nie mogąc już dłużej znieść narastającego napięcia. — Do rzeczy! Mów, czego chcesz ode mnie!

— Chcę, żebyś poszedł ze mną do domu Johna Grimlana i pomógł mi wykonać jego barbarzyńskie polecenie dotyczące zwłok.

Ubrałem się spiesźnie, choć nie miałem ochoty na tę wyprawę, a od czasu do czasu przesywał mnie dreszcz okropnych przeczuć. W milczeniu szliśmy pustą drogą prowadzącą do domu Grimlana. Wspinała się ona serpentyną i ciągle mieliśmy nad sobą wielkie ponure domostwo przycupnięte jak ptak zła na szczycie, czarne i martwe na tle gwiazd. Na zachodzie, w miejscu gdzie sierp księżyca zatonął za linią wzgórz, drgał jeszcze czerwony krąg blasku. Wokół czaiło się zło. Trzepotanie skrzydeł nietoperza nad głową wprawiało mnie w nerwowe drżenie. Serce waliło mi jak młotem. By się uspokoić, spytałem:

— A czy ty uważasz, tak jak wielu innych, że John Grimlan był szalony?

Uszliśmy kilka kroków, zanim Conrad z jakąś dziwną niechęcią odpowiedział:

— Uważałbym go za zupełnie zdrowego psychicznie, gdyby nie pewne zdarzenie. Otóż pewnej nocy w swoim gabinecie nagle stracił cały rozsądek. Godzinami rozprawiał na swój ulubiony temat, o czarnej magii, i nagle zaczął krzyczeć, z oczami gorejącymi jakimś piekielnym płomieniem: „Po cóż tu siedzę plotąc ci takie dziecinne bzdury? Owe obrzędy woodoo... ofiary shintu... upierzone węże... bezrogie kozły... kult czarnego lamparta... ba! Brud i kurz rozwiewany wiatrem! Fusy rzeczywiście Nieznanego — przepastne tajemnice! Echa Czeluści! Mógłbym ci powiedzieć o rzeczach, od których pomieszałyby się twój nędzny mózg! Mógłbym szepnąć ci do ucha imiona, które wypaliłyby w tobie życie, jak pożar wypala las. Co wiesz o Jog — Sothoth, o Kathulos i zatopionych miastach? Żadne z tych imion nie jest nawet wymienione w waszych mitologiach. Nawet w swoich snach nie oglądałeś czarnych gigantycznych murów Koth. Nie zadrzałeś od trujących podmuchów wiatrów wiejących z Jaggoth! Jednak nie porażę cię piorunem mojej mrocznej mądrości! Nie mogę oczekiwać, by twój infantylny umysł przyswoił to, co się w moim kryje. Gdybyś był taki stary jak ja... gdybyś jak ja oglądał upadające królestwa i przemijające pokolenia... gdybyś zgromadził jak dojrzałe ziarna tajemnice wieków...” Bredził tak dalej, twarz jego w płomieniach obłędu wydawała się wprost nieludzka, i nagle, widząc moje osłupienie, wybuchnął rechoczącym straszliwym śmiechem. „Boże!” zawołał obcym głosem, dziwnie wymawiając słowa, „zdaje się, że cię przestraszyłem, i nic w tym dziwnego, bo w gruncie rzeczy tyś niemowlęciem w sztuce życia. Myślisz, że jestem stary? Ach, ty prostaku o zdumionych oczach, padłbyś trupem,

gdybym ci wyjawiał, ile pokoleń ludzkich znałem...” Wtedy ogarnął mnie taki strach, że uciekłem od niego, jak ucieka się od zmii, a jego piskliwy diabelski śmiech biegł za mną nawet wtedy, gdy już opuściłem to ciemne domostwo. W kilka dni później otrzymałem list, w którym przeproszał mnie za swoje zachowanie i wyjaśniał je szczerze... zbyt szczerze, zażyciem narkotyków. Nie uwierzyłem mu, ale po pewnym wahaniu znowu nawiązałem z nim stosunki.

— Wygląda to na czyste szaleństwo — mruknąłem.

— Tak — przyznał niepewnie Conrad.— Ale... Kirowan. czy kiedykolwiek spotkałeś kogoś, kto znał Johna Grimlana w młodości?

Potrząsnąłem głową.

— Zadałem sobie sporo trudu, aby dyskretnie zebrać o nim wiadomości — mówił Conrad. — Żył tutaj od dwudziestu lat, choć tajemniczo zniknął, często na parę miesięcy. Starsi mieszkańcy tej okolicy dokładnie pamiętają, kiedy przybył i zajął to stare domostwo na górze. Wszyscy twierdzą, że nie spostrzegli, żeby się przez te lata postarzał. Kiedy się zjawił, wyglądał tak jak teraz... to znaczy do chwili śmierci... na człowieka koło pięćdziesiątki. W Wiedniu rozmawiałem ze starym Von Boehnkem, który powiedział mi, że przed pięćdziesięcioma laty, kiedy jako młodzieniec studiował w Berlinie, znał Grimlana. Zdziwił się, że on jeszcze żyje, bo wtedy wyglądał na lat pięćdziesiąt. Wydałem okrzyk niedowierzania, pojawiając się, ku jakim wnioskom te słowa zmierzają.

— Nonsens! Profesor Von Boehnk ma już przeszło osiemdziesiąt lat i może popełniać błędy na skutek starości. Myli Grimlana z kimś innym.

Jednak gdy to mówiłem, przebiegły mnie ciarki i włos mi się zjeżył.

— No cóż — Conrad wzruszył ramionami — jesteśmy już na miejscu.

Ogromna budowla majaczyła groźnie przed nami, a kiedy doszliśmy do drzwi frontowych, w pobliskich drzwiach zajął przelotny wiatr, a ja znowu zadrzałem, słysząc upiorny trzepot skrzydeł nietoperza. Conrad przekręcił ogromny klucz w staroświeckim zamku, a kiedyśmy wchodzili, poczuliśmy przeciąg, zimny i wilgotny, jakby wiał z grobu. Dygotałem z lęku.

Po omacku szliśmy ciemnym korytarzem do gabinetu. Tutaj Conrad zapalił świecę, gdyż w domu nie było oświetlenia elektrycznego ani gazowego. Rozejrzałem się dokoła, niepewny, co blask świecy ukaże, ale w pokoju, dziwacznie umeblowanym, przybranym dywanami i gobelinami, prócz nas nie było nikogo.

— Gdzie, gdzie jest... to? — spytałem ochryplym szeptem, gdyż zaschło mi nagle w gardle.

— Na piętrze — odpowiedział Conrad cichym głosem, świadczącym, że i na niego działa cisza i tajemniczość otoczenia. — Na piętrze, w bibliotece, tam gdzie umarł.

Mimo woli spojrzałem w górę. Gdzieś nad naszymi głowami jedyny pan tego ponurego domostwa leżał wyciągnięty w ostatnim śnie — milczący, z grymasem śmierci na białej twarzy.

Ogarnęła mnie trwoga. Próbowałem ją zwalczyć. Przecież to są zwłoki niegodziwego starca, który teraz nie może już nikogo skrzywdzić — ten argument rozbrzmiewał głucho w mojej głowie, jak słowa wystraszonego dziecka, które uspokaja samo siebie.

Spojrzałem na Conrada. Wyjął z wewnętrznej kieszeni poźółkłą ze starości kopertę.

— To — powiedział wyciągając z niej parę kartek drobno zapisanego poźółkłego pergaminu — to jest ostatnia wola Johna Grimlana, choć spisana Bóg jeden wie jak dawno. Dał mi to dziesięć lat temu, zaraz po powrocie z Mongolii. Wkrótce potem miał pierwszy atak. Wręczył mi tę zalakowaną kopertę i kazał przysiąc, że przechowam ją starannie i otworzę dopiero po jego śmierci, a wtedy odczytam pergamin i postąpię ściśle według wskazówek tam podanych. Co więcej, kazał mi przysiąc, że bez względu na to, co zrobi lub powie później, mam przestrzegać pierwszego polecenia. „Bo — powiedział z okropnym uśmiechem — ciało jest słabe, lecz ja jestem człowiekiem honoru i chociaż w chwili słabości mógłbym chcieć się



wycofać, jest już za późno, o wiele za późno. Może nigdy tego nie zrozumiesz, ale masz zrobić, co powiedziałem”.

— Więc?

— Więc — Conrad znowu wytarł czoło — dziś wieczór, kiedy skręcał się w śmiertelnych bólach, w jego nieartykułowane krzyki wplatały się szaleńcze błagania, abym przyniósł tę kopertę i zniszczył w jego oczach. Uniósł się z wysiłkiem na łokciach i wybałuszając na mnie oczy, z włosami stojącymi dęba wydawał wrzaski mrozzące krew w żyłach. Krzyczał, żebym zniszczył kopertę nie otwierając jej, a raz w tym delirium zażądał, bym poszarpał jego zwłoki i rozrzucił je na cztery wiatry.

Z zaschniętych warg wydarł mi się okrzyk zgrozy.

— Wreszcie — ciągnął Conrad — ustąpiłem. Z początku opierałem się, pamiętając jego surowe zakazy sprzed dziesięciu lat, ale w końcu, nie mogąc już dłużej znieść tych rozpaczliwych krzyków, zdecydowałem się iść po kopertę. W tym momencie szarpnął się tak gwałtownie, aż krwawa piana wystąpiła mu na wykrzywione wargi i życie uszło z niego w ostatnim straszliwym skurczu.

Conrad zaczął wyciągać pergamin z koperty.

— Dotrzymać obietnicy. Te wskazówki tutaj są zdumiewające i mogą być wytworem chorego mózgu. Jednak dałem słowo. Krótko mówiąc, mam złożyć jego ciało na czarnym mahoniowym stole w bibliotece i zapalić przy nim siedem czarnych świec. Okna i drzwi mają być szczelnie zamknięte. W ciemności, która poprzedza świt, mam odczytać formułę czy zaklęcie, zawarte w mniejszej, zapieczętowanej kopercie, której jeszcze nie otworzyłem, a która znajduje się w tej większej.

— I to wszystko? — zawołałem. — Żadnych wskazówek, jak dysponować jego pieniędzmi, majątkiem, co zrobić z jego ciałem?

— Żadnych. W testamencie, który gdzie indziej widziałem, przekazuje cały majątek i pieniądze pewnemu dżentelmenowi ze Wschodu, wymienionemu w tym dokumencie jako Malik Tous!

— Co! — wykrzyknąłem wstrząśnięty do głębi. — Conrad, to czyste szaleństwo! Malik Tous!... Wielki Boże! Żaden śmiertelnik nigdy tak się nie nazywał! To imię złego bożka, czczonego przez tajemniczych Yezidee... tych Wyklętych z Mount Alamout... których Osiem Miedzianych Wież wznosi się na niezbadanych pustkowiach wnętrza Azji. Godłem tych bałwochwalców jest miedziany wąż. Mahometanie nienawidzą czcicieli tego demona i twierdzą, że jest on uosobieniem zła wszechświata, Księciem Ciemności, Arymanem, wiecznym szatanem! A ty mówisz, że tego mitycznego demona Grimlan wymienia w swoim testamencie?

— Tak. — I jego głos był ochryply. — Spójrz... jakie dziwne słowa skreślił tu na narożniku pergaminu: *Nie kop mi grobu, nie będzie mi potrzebny.*

Ponownie przeszedł mnie dreszcz grozy.

— Na Boga! — zawołałem gorączkowo. — Skończmy jak najprędzej tę okropną sprawę!

— Myślę, że kieliszek by się przydał. — Conrad zwilżył wargi. — Zdaje mi się, że Grimlan stąd wyjmował wino...

Pochylił się nad drzwiczkami pięknie rzeźbionej mahoniowej szafki i po chwili, choć z trudem je otworzył.

— Nie ma tu wina — stwierdził z rozczarowaniem — a nigdy nie czułem takiej potrzeby napicia się czegoś mocniejszego... Co to?

Wyciągnął zwój pergaminu, zakurzony, pożółkły, pokryty pajęczyną.

W nerwowym napięciu, w jakim się znajdowałem, wszystko w tym ponurym domostwie wydawało mi się ważne, pełne tajemniczego znaczenia. Pochyliłem się nad Conradem, kiedy rozwijał pergamin.

— To rodowód parów — oznajmił. — Kronika urodzin, śmierci itede, jakie prowadziły stare rodziny w XVI wieku i dawniej.

— Jakie nazwisko?

Mrużył oczy nad niewyraźnym napisem usiłując odczytać wyblakłe staroświeckie litery.

— G...r...ym... o, tak, Grymlann, oczywiście. To rodowód starego Johna z rodu Grymlann z Toad-heath Manor, w Suffolk... Co za cudzoziemska nazwa posiadłości! Spójrz na ostatni zapis!

Razem odczytaliśmy: *John Grymlann, urodzony 10 marca 1630 roku.*

Obaj wydaliśmy okrzyk zdumienia. Dalej widniały następujące słowa, świeżo skreślone dziwnym, niedbałym pismem: *Zmarł 10 marca 1930 roku.* Pod nimi znajdowała się pieczęć z czarnego wosku, wyobrażająca coś dziwnego, podobnego do pawia z rozpostartym ogonem. Conrad, bardzo blady, patrzył na mnie bez słowa. A mnie ze strachu ogarnęła wściekłość;

— To oszustwo szaleńca! — wrzasnąłem. — Tak starannie przygotowano tę scenę, że aktorzy przedobrzyli sprawę! Kimkolwiek są, nagromadzili za wiele nieprawdopodobieństw i zniszczyli efekt. To bardzo głupia, bardzo nudna komedioiluzja!

A jednak kiedy to mówiłem, zimny pot oblał mnie od stóp do głów, dygotałem jak w febrze. Conrad skinął na mnie bez słowa i zabrawszy ogromną świecę z mahoniowego stołu, skierował się ku schodom.

— Przypuszczano chyba — szepnął — że sam jeden będę załatwiał tę piekielną sprawę. Ale mnie zabrakło odwagi i rad jestem z tego.

W miarę jak wchodziliśmy po schodach, narastała groza. Lekki podmuch wiejący nie wiadomo skąd poruszył ciężkie aksamitne zasłony, a ja oczyma wyobraźni widziałem szponiaste palce rozchylające je i wyzierające spoza nich wpatrzony w nas łakomie czerwone ślepie. Przez chwilę zdawało mi się, że słyszę gdzieś nad sobą głuchy tupot potwornie wielkich stóp, ale to było chyba bicie mego serca. Schody doprowadziły nas do szerokiego ciemnego korytarza. Świeca rzucała nikły blask, oświetlając tylko nasze wylekłe twarze i czyniąc mrok dookoła jeszcze bardziej pośepnym. Stanęliśmy przed ciężkimi drzwiami. Posłyszałem, że Conrad gwałtownie wciąga oddech, jak człowiek stojący przed niebezpieczeństwem. Bezwiednie tak mocno zacisnąłem pięści, aż paznokcie wbiły mi się w ciało. Conrad otworzył drzwi.

Głośny krzyk wydarł mu się z gardła. Świeca wypadła ze skostniałych rąk i zgasła. Biblioteka Johna Grimlana jarzyła się jasnym blaskiem, chociaż gdy weszliśmy do domu, cały pograżony był w ciemnościach.

Światło biło z siedmiu zapalonych czarnych świec, rozstawionych regularnie wokół wielkiego mahoniowego stołu. Na stole, pomiędzy świecami... przygotowałem się na ten widok. Ale teraz zaskoczony niespodziewaną iluminacją i wyglądem trupa o mało nie zemdląłem. John Grimlan nie był piękny za życia, ale po śmierci budził odrazę. Tak, budził odrazę, chociaż twarz mu ktoś miłosiernie zasłonił tą samą szatą z jedwabiu w dziwne jakieś wzory, która przykrywała całe jego ciało z wyjątkiem szponiastych rąk i pomarszczonych stóp.

Conrad szepnął zdławionym głosem:

— Mój Boże! Co to znaczy? Położyłem zwłoki na stole i rozstawiłem świece, ale ich nie zapalałem. Nie nakrywałem ciała tą szatą. A na nogach miał ranne pantofle, kiedy stąd wychodziłem.

Nagle urwał. Nie byliśmy sami w tej komnacie śmierci. Początkowo nie zauważyliśmy go, siedzącego w wielkim fotelu w najdalszym kącie pokoju i tak nieruchomego, jak gdyby był częścią cienia padającego od ciężkich zasłon. Kiedy mój wzrok go napotkał, opanowało mnie gwałtowne drżenie i żołądek podjechał mi do gardła. Uderzyły mnie przede wszystkim jego oczy, skośne, żółte, którymi wpatrywał się w nas przenikliwie, bez mrugnienia powieką. Potem powstał i złożył nam głęboki ukłon na wschodnią modłę i poznaliśmy, że przybył z Orientu. Kiedy teraz próbuję wskrzesić w myślach jego obraz, nie potrafię. Pamiętam tylko te przeszywające oczy i żółtą fantastyczną szatę.

Machinalnie odpowiedzieliśmy na jego ukłon, a on odezwał się cichym, opanowanym głosem:

— Panowie, proszę o wybaczenie! Pozwoliłem sobie zapalić świece. Może przystąpimy do obrzędów, związanych ze zgonem naszego wspólnego przyjaciela.

Wykonał lekki ruch ręką w kierunku nieruchomego kształtu spoczywającego na stole. Conrad skinął głową, niezdolny wydobyć głosu z gardła. Obaj pomyśleliśmy, że ten człowiek także otrzymał zapieczętowaną kopertę, ale w jaki sposób zdołał przybyć tak prędko? John Grimlan nie żył dopiero od dwóch godzin i sądziliśmy, że nikt prócz nas nie wiedział o jego zejściu z tego świata. A jak dostał się do zamkniętego na klucz i zaryglowanego domu?

Cała ta sprawa była bardzo dziwna i w najwyższym stopniu nierealna. Nawet nie przedstawiliśmy się ani nie spytaliśmy nieznanego o nazwisko. Objął kierownictwo w sposób zupełnie naturalny, a my tak byliśmy przejęci grozą tej nierzeczywistej, jak nam się zdawało, sytuacji, że machinalnie spełnialiśmy polecenia, które przekazywał nam cichym, pełnym szacunku głosem.

Zorientowałem się, że stoję z lewej strony stołu i ponad leżącym na nim ciałem spoglądam na Conrada. Przybysz ze Wschodu stał ze skrzyżowanymi ramionami i pochyloną głową u szczytu stołu, a mnie nawet przez myśl nie przeszło pytanie, dlaczego właśnie on tam stoi, a nie Conrad, który miał odczytać pergamin Grimlana. Wzrok mój przykuwał jedwabny czarny haft na przedniej górnej części szaty nieznanego, wyobrażający jakąś dziwną postać ni to pawia, ni to nietoperza, ni to smoka. Zauważyłem ze zdumieniem, że jest to ten sam motyw, co na szacie przykrywającej zmarłego.

Zamknęliśmy okna i przekreśliśmy klucz w drzwiach. Conrad drżącą ręką otworzył wewnętrzną kopertę i wyjął z niej pergamin, który wydał mi się starszy niż kartka w większej kopercie, zawierająca wskazówki dla Conrada. Zaczął czytać monotonnym głosem, który działał na mnie jak hipnoza, tak że chwilami blask świec szarzał pode mną, a cały pokój i dwaj mężczyźni poczynali wirować mi przed oczami, dziwaczni, monstualni, przysłonięci mgłą, jakbym ich widział w halucynacji. Większość tego, co Conrad czytał, to był jakiś żargon, który nic nie znaczył, ale samo brzmienie słów i archaiczny styl wzbudziły we mnie niepojętą trwogę.

*Ja, John Grymlann, przysięgam na Imię Nienazwanego, że dochowam wiary kontraktowi gdzie indziej spisanemu. Dlatego to teraz piszę własną krwią słowa wypowiedziane do mnie w owej cichej i ponurej komnacie w umarłym mieście Koth, do którego nie dotarł żaden śmiertelnik prócz mnie. Te właśnie słowa spisane przeze mnie mają być odczytane nad moim ciałem w wyznaczonym czasie, abym dopełnił swojej części umowy, którą zawarłem z własnej woli i w pełni świadomości, będąc przy zdrowym umyśle w wieku lat pięćdziesięciu w tym roku 1680, A. D. Tutaj zaczynają się wasze inkantacje: Zanim człowiek był, Starsi byli i już wtedy ich pan zamieszkiwał w krainie cieni, do której jeżeli zstąpi człowiek, stopa jego może nie powrócić na dawną drogę.*

Po tych słowach posłyszałem barbarzyński żargon, gdy Conrad zmagął się z nie znanym sobie językiem, trochę przypominającym fenicki, ale z okropnym nalotem jakiejś pradawnej mowy, niepodobnej do żadnego języka na ziemi. Jedna ze świec zamigotała i zgasła. Chciałem ją zapalić, ale nieznanomy powstrzymał mnie w milczeniu. Spojrzał na mnie płonącymi oczami, a potem przeniósł wzrok na nieruchomą postać na stole.

Manuskrypt nawrócił znowu do starej angielszczyzny:

*A śmiertelnik, który się dostanie do ciemnych twierdz Koth i pomówi z Ciemnym Panem o Zakrytej Twarzy może zdobyć nagrodę, jakiej jego serce pragnie, bogactwo i wiedzę bez granic i życie przekraczające zasięg śmiertelnego życia nawet o dwieście pięćdziesiąt lat.*

Znowu posłyszałem niezrozumiałe gardłowe dźwięki.

Zgasła druga świeca.

*...Niechaj śmiertelnik nie próbuje się wymigiwać, kiedy nadejdzie czas zapłaty i dosię-*

*gną go ognie Piekła... Albowiem Księżę Ciemności w końcu odbiera, co mu się należy, i nie da się zwieść. Co zostało przyrzeczone, musi być dotrzymane. Augantha ne shuba...*

Na pierwszy dźwięk tej barbarzyńskiej mowy kleszcze lęku zacisnęły się na moim gardle. Skierowałem w przerażeniu spojrzenie na świecę i nie zdziwiło to mnie, że trzecia zgasła. Ale najlżejszy powiew nie poruszał ciężkich zasłon. Conrad przesunął ręką po gardle, głos odmówił mu na chwilę posłuszeństwa. Oczy nieznanego wciąż patrzyły tak samo..

*... wśród synów ludzkich zawsze przesuwają się dziwne cienie. Ludzie dostrzegają ślady ich szponów, ale nie widzą stóp, które odcisnęły te ślady. Nad duszami ludzi rozpostarte są wielkie czarne skrzydła. Jeden jest Czarny Władca, choć ludzie mówią: Szatan, Belzebub, Apollon, Aryman i Malik Tous...*

Przerażenie opanowało całą moją istotę. Ledwo słyszałem monotony głos Conrada, czytającego po angielsku, i wypowiedzi w tym innym okropnym języku, których strasznego znaczenia nawet nie ośmielałem się odgadywać. Z sercem zamierającym z przerażenia patrzałem, jak gasła świeca po świecy. Nie byłem zdolny się poruszyć: moje rozszerzone źrenice wpatrywały się aż do bólu w świecę, które się jeszcze paliły. Lękałem się również nieznanego, stojącego u szczytu upiornego stołu. Nie ruszał się ani nic nie mówił, ale spod opuszczonych powiek rzucał ogniste spojrzenia pełne diabelskiego triumfu. Wiedziałem, że pozornie spokojny, płonie szatańską radością. Ale dlaczego? Dlaczego?

Wiedziałem, że w momencie, kiedy zgaśnie ostatnia świeca i ciemność ogarnie pokój, stanie się coś niewypowiedziane strasznego.

Czytanie dobiegało końca. Głos Conrada zyskiwał na sile.

*Teraz nadchodzi chwila zapłaty. Kruki nadlatują. Nietoperze unoszą się w powietrzu. Wśród gwiazd widać trupie czaszki. Dusza i ciało są przyrzeczone i będą zabrane. Nie padną w proch ziemi ani w elementy, z których rodzi się życie...*

Płomień świecy zadrgał. Chciałem krzyknąć, ale usta. niezdolne były wydać nawet jęku. Chciałem uciekać, ale nogi wrosły mi w ziemię, nie mogłem nawet zamknąć ciężkich powiek.

*... czeluście rozwierają się i dług ma być zwrócony. Światło gaśnie, gromadzą się ciemności. Nie ma dobra, tylko zło, nie ma nadziei, tylko zguba...*

Nagle rozległ się głuchy jęk. Wydarł się z leżącego na stole zakrytego jedwabną szatą ciała. Szata zadrgała niespokojnie.

*O, skrzydła przepastnych mroków!*

Drgnąłem gwałtownie: w narastających ciemnościach dał się słyszeć jakiś szum. Czy poruszyły się zasłony? Przypominało to trzepotanie olbrzymich skrzydeł.

*O, czerwone oczy w mrokach! Co jest przyrzeczone, co jest zapisane krwią, spełnia się! Ciemność pochłania życie! Tak... Koth!*

Nagle zgasła ostatnia świeca i upiorny nieludzki krzyk, który nie wydarł się ani z mojego gardła, ani z Conrada, przeszył powietrze. Przerażenie zmroziło mnie do szpiku kości. Posłyszałem swój własny przeraźliwy krzyk. Potem z ogromnym szumem coś przemknęło pokojem szybko i gwałtownie jak trąba powietrzna, rozsuwając zasłony i roztrzaskując krzesła i stoły na podłodze. Przez chwilę smród nie do zniesienia drażnił nasze nozdrza, ohydny chichot rozległ się w ciemnościach. Potem zapadła cisza jak czarny całun.

Conrad zdołał znaleźć świecę i zapalił ją. W słabym jej blasku ujrzeliśmy straszny nieład w pokoju, ujrzeliśmy bladość naszych twarzy i pusty stół z czarnego hebanu. Drzwi i okno były zamknięte jak poprzednio, ale nieznanomy z Orientu zniknął — i zniknęło również ciało Johna Grimlana.

Krzyżąc jak potępienicy wywaliliśmy drzwi i jak szaleńcy pognaliśmy w dół ciemnej, przypominającej studnię klatki schodowej czując na gardle zaciskające się palce mroku. Kiedy wpadliśmy na dolny korytarz, czerwony blask rozdarł ciemność, a nozdrza wypełnił swąd palącego się drewna.

Frontowe drzwi opierały się przez chwilę naszym gwałtownym uderzeniem, potem

ustąpiły. Znaleźliśmy się na dworze, w blasku gwiazd. Kiedy zbiegaliśmy z góry, słyszeliśmy za sobą trzaski i szum płomieni. Conrad obejrzał się, nagle stanął i machając rękami jak szaleniec, krzychał:

— Zaprzedał duszę i ciało Malikowi Tous, to jest Szatanowi, dwieście pięćdziesiąt lat temu! To była noc zapłaty... O, Boże! Patrz! Patrz! Diabeł porwał, co jego!

Spojrzałem i zastygłem w przerażeniu. Płomienie z zadziwiającą szybkością obejmowały całe domostwo i budowla gorzała na tle ciemnego nieba jak ogniste piekło. Nad tą całością ofiarą szybował ogromny cień na kształt monstrowego nietoperza, a z jego szponów zwisało bezwładnie coś, co przypominało ciało człowieka. Nie przebrzmiał jeszcze nasz krzyk grozy, a nietoperz zniknął i nasze zdumione oczy widziały już tylko chwiejące się ściany i płonący dach, który po chwili runął w ogień z takim hukiem, że ziemia zdawała się drżeć w posadach.

*Przełożyła Aldona Szpakowska*

ROSA MULHOLLAND

## **NIE CZYTAĆ O ZMIERZCHU!**

Jest to legenda o domu zwanym Czarcia Gospoda, stojącym pośród wrzosowisk w górach Connemara, w płytkiej kotłince otoczonej pięcioma szczytami. Turystom ukazuje się on niekiedy we wrześniowe wieczory — dziwna, wiatrem i deszczem wysmagana zjawka, którą gniewne słońce razi spomiędzy wzgórz oślepiającym blaskiem, odbijając się w potrzaskanych szybach. Wiadomo jednak, że przewodnicy omijają ten dom z daleka.

Zbudował go człek nietutejszy, przybysz z nieznanych stron, przezywany Collem Dhu (Czarnym Collem) z uwagi na ponury wygląd i pustelniczy sposób życia. Siedzibę jego nazwano Czarcia Gospoda, nigdy bowiem nie zaprosił pod swój dach żadnego utrudzonego wędrowca, żaden też przyjaciel nigdy nie przekroczył tego progu. W górskim ustroniu kompanii dotrzymywał Collowi Dhu tylko pomarszczony staruszek, który w czasie swych rzadkich wypadów do najbliższej wioski po żywność dla siebie i swego pana nie odpowiadał na powitanie człapiącego z mozołem wieśniaka, a jeśli idzie o przeszłość ich obu, milczał jak głaz.

W pierwszym roku ich pobytu w tych stronach różne snuto domysły na temat tego, kim są i co porabiają tam w górze, wśród orłów i chmur. Jedni twierdzili, że Coll Dhu jest latoroślą starego rodu, który utracił okoliczne ziemie, i że rozgoryczony nędzą i upokorzeniami przybył zaszyć się na tym odludziu i rozpamiętywać doznane niepowodzenia. Inni napomykali o zbrodni i ucieczce z obcego kraju; a jeszcze inni szeptali o ludziach od urodzenia obciążonych klątwą, do końca życia niezdolnych się uśmiechnąć czy zawrzeć przyjaźni. Po upływie dwóch lat wszakże dziw nieco spowszedniał i mało kto myślał o Collu Dhu, chyba że pastuch pilnujący owiec napotkał chodzącego po górach ze strzelbą w dłoni rosłego, ciemnego mężczyznę, którego nie śmiał pozdrowić w imię Boże, albo kobieta siedząca w zimowy wieczór nad kołyską zęgnęła się, kiedy nad dachem chaty przelatywał podmuch wichury, i wykrzykiwała: „Och, to ten Coll Dhu, za dużo ma tam dziś w górach świeżego powietrza!”

Coll Dhu przemieszkał tak w swoim zaciszu lat parę, kiedy gruchnęła pogłoska, że pułkownik Blake, nowy właściciel tych ziem, zjeżdża na wieś. Ze szczytu jednej z turni otaczających jego podniebną siedzibę Coll mógł spojrzeć po stoku i gdzieś bardzo daleko w dole zobaczyć w pomniejszeniu stare szare domostwo z oplecionymi bluszczem kominami i wy-

chłostanymi przez deszcze ścianami, usadowione wśród rzadkich drzew i groźnych, wojowniczych skał, co nadawało mu wygląd twierdzy. Dom ten trwał zapatrzony w fale Atlantyku pożądliwymi oczami wszystkich swoich okien, jakby ustawicznie zadając pytanie: „Co za wieści przynosicie mi z Nowego Świata?” Coll widywał teraz murarzy i cieśli pełzających w dole, krzątających się jak mrówki w słońcu, przebiegających stary dom od fundamentów po kominy, tynkujących w jednym miejscu, a stukających w drugim, zwalających ściany, które usadowionemu wysoko w chmurach Collowi przypominały garść kulek do gry, i wznoszących inne, podobne do płotków z dziecięcej zabawki. Przez kilka miesięcy musiał obserwować pracowite mrówki pochłonięte psuciem i reperowaniem, szpeceniem i upiększaniem; lecz kiedy wszystko już zostało zrobione, nie starczyło mu ciekawości, by zejść na dół i podziwiać piękne boazerie w nowym pokoju bilardowym lub wspaniały widok roztaczający się z powiększonego okna wykuszowego w salonie na szlak wodny do Nowej Fundlandii.

Późne lato przetapiało się w jesień, bursztynowe smugi rozkładu jęły wypełzać i rozsnuć się po dojrzałym fiolecie wrzosowisk i gór, kiedy pułkownik Blake wraz z jedyną córką i gromadką przyjaciół zawitał do swych włości. Szary dom w dole rozbrzmiewał wesołym gwarem, lecz Coll Dhu przestał go obserwować ze swych wyżyn. Kiedy patrzył na wschód lub zachód słońca, wolał się wspinać na taką turnię, z której nie widać było ludzkich domostw. Wyruszając na swe wyprawy ze strzelbą w ręce, zwracał twarz ku najbardziej odludnym pustkowiom, zapuszczał się w najdziksze doliny i wdrapywał na najbardziej nagie granie. Kiedy przypadkiem posłyszał głosy innych wycieczkowiczów, pogrążał się ze swą strzelbą w mrokach jakiegoś zagłębienia i unikał spotkania. Los zrządził jednak, że mimo wszystko on i pułkownik Blake musieli się zetknąć.

Pewnego pogodnego dnia wrześniowego wiatr zmienił pod wieczór kierunek i w ciągu pół godziny góry spowiła gęsta, nieprzenikniona mgła. Coll Dhu znajdował się daleko od swego leża, ale na wylot poznał te góry i przywykł do zmian pogody, tak że ani wiatr, ani deszcz czy mgła nie zdołały go zaniepokoić. Kroczył pewnie swą drogą, gdy wtem cichy, udręczony krzyk człowieka przedarł się do niego poprzez dławiacą mgłę. Szybko ustalił, skąd głos ten pochodzi, i dotarł do mężczyzny, któremu każdy niepewny krok groził śmiercią.

— Idź za mną! — rozkazał Coll Dhu i w ciągu godziny sprowadził nieznanego bezpiecznie w dół, przywiódł pod sam dom z pożądliwymi oczami okien.

— Jestem pułkownik Blake — rzekł ze szczerością żołnierz, kiedy pozostawiwszy za sobą mgłę stanęli w blasku gwiazd pod rozświetlonymi oknami. — Proszę nie ociążać się z odpowiedzią, komu zawdzięczam życie.

Mówiąc to spojrzął na swego dobroczyńcę, rosłego mężczyznę o posępnej, spalonej słońcem twarzy.

— Panie pułkowniku — odparł Coll Dhu po dziwnej chwili milczenia — pański ojciec namówił przy stole gry mojego ojca, żeby postawił cały swój majątek. Ojciec zaryzykował, kusiciel wygrał. Żaden z nich nie żyje, lecz my żyjemy, ja zaś przysiągłem wyrzucić panu krzywdę.

Pułkownik roześmiał się dobrodusznie, z wzrokiem wzniesionym ku tej zakłopotanej twarzy.

— I dziś wieczór zaczął pan dotrzymywać przysięgi ratując mi życie? — zapytał. — No cóż! Jestem żołnierzem i potrafię stawić czoło wrogowi, lecz dużo chętniej spotykam przyjaciela. Nie uspokoję się, dopóki nie ugoszczę pana pod moim dachem. Obchodzimy dziś urodziny mej córki. Nie przyłączy się pan do zabawy?

Coll Dhu z zaciętą miną wpatrywał się w ziemię.

— Powiedziałem panu — rzekł — kim i czym jestem, i nie przestąpię progu pańskiego domu.

Lecz w tejże chwili (jak słyszałam) oszklone drzwi się otwały i pośród rabat, tam gdzie stali panowie, ukazała się zjawą, na jej widok zaś słowa zamarły Collowi w gardle. Dumna

dziewczyna w białej satynowej sukni stała w obramowaniu drzwi obrośniętych bluszczem, a ciepłe światło bijące z pokoju opływało jej toczone kształty i roztopiało się w mroku. Twarz miała równie białą jak strój, oczy zalane łzami, lecz kiedy obie ręce wyciągała do ojca, ust nie opuszczał niezmienny uśmiech. Światło muskało od tyłu lśniące fałdy sukni, połyskliwe perły wokół szyi, wianek krwistoczerwonych róż wokół upiętych nad karkiem warkoczy. Satyna, perły i róże — czyżby Coll Dhu z Czarnej Gospody nigdy czegoś takiego nie widział?

Evleen Blake nie była płochliwa i skora do łez. Parę szybko wypowiedzianych słów: — Bogu dziękować! Nic ci się nie stało; tamci wrócili godzinę temu — upierścienione dłonie zamykające ojcowskie palce w silnym uścisku, oto jedyne oznaki przeżytego niepokoju.

— Na Boga, kochanie, życie moje zawdzięczam temu dzielnemu dżentelmenowi! — oświadczył radośnie pułkownik. — Proś, aby zechciał być naszym gościem, Evleen. Pragnie powrócić w swoje góry i ponownie zagubić się we mgle, w której go znalazłem, albo raczej to on mnie znalazł! Musi pan — ciągnął zwracając się do Colla — ulec tej pięknej armii oblężniczej.

Dokonano prezentacji.

— Coll Dhu! — wyszeptała Evleen Blake, bo słyszała krążące o nim opowieści; powitawszy jednak szczerze wybawcę ojca, zaofiarowała mu gościnę ojcowskiego domu.

— Proszę, niechże pan wejdzie do środka — powiedziała — bo gdyby nie pan, nasza radość musiałaby się zamienić w żalobę. Cień padnie na naszą wesołość, jeśli nasz dobroczyńca wzgardzi zaproszeniem.

Z rozkoszną gracją, nie pozbawioną lekkiej domieszki dumy, która jej nigdy nie opuszczała, panna wyciągnęła białą dłoń do rosłego mężczyzny majaczącego za drzwiami, a on ją chwycił i ścisnął tak, że oczy wyniosłej dziewczyny rozbłysły zdumieniem, zaś sama zaś drobna rączka na znak nieukontentowania zacisnęła się w pięść i skryła znieważona w lśniących fałdach sukni. Czy ten Coll zwariował, czy ma złe maniery?

Gość już nie wzbraniał się wejść, lecz podążył za białą postacią do małego gabinetu oświetlonego lampą; tam to ponury nieznamy, prostoduszny pułkownik i młoda pani domu ukazali się nawzajem swoim oczom. Evleen zajrzawszy w ciemną twarz przybysza zadrżała owładnięta nieopisanym lękiem i odrazą, po czym zwróciła się do ojca i wytłumaczyła przyczynę tego dreszczu, niefrasobliwie powtarzając ludowe porzekadło: „Ktoś przeszedł po moim grobie”

Tak więc Coll Dhu uczestniczył w urodzinowym balu Evleen Blake. Znajdował się oto tu, pod tym dachem, który do niego powinien należeć, obcy, znany tylko z przydomka, unikany przez ludzi, samotny. Był tutaj, on, który dotąd żył pośród orłów i lisów, czaił się powodowany okrutnym zamiarem wywarcia na synu wroga swojego ojca zemsty za niedostatek i hańbę, za złamane serce nieżyjącej matki, za samobójczą śmierć ojca, za żalną garstkę rozproszonych braci i siostr. Stał oto tutaj, Samson odarty ze swej siły; a wszystko dlatego, że dumna panna miała rzewne oczy, ponętne usta i że wyglądała promiennie w satynie i różach.

Niedościgną tam, gdzie wiele było ślicznych, krążyła wśród przyjaciół usiłując nie dostrzegać ponurego blasku tych dziwnych oczu, które podążały za nią niestrudzenie, gdziekolwiek się zwróciła. A kiedy ojciec poprosił, by była miła dla nietowarzyskiego gościa, rad by go bowiem udobruchać, uprzejmie poprowadziła Colla do nowej galerii obrazów przyległej do salonu; tłumaczyła, w jakich to niezwykłych okolicznościach pułkownik trafił na ten czy inny obrazek; posługiwała się całym swym kunsztem, na tyle, na ile pozwalała jej duma, by osiągnąć cel ojca, jednocześnie zaś zachowywała rezerwę; usiłowała odwrócić uciążliwą uwagę gościa od własnej osoby i skierować ją na pokazywane przedmioty. Coll Dhu szedł za swą przewodniczką i słuchał jej głosu, nie miało dlań jednak znaczenia, co mówi; nie zdołała też skłonić go do dłuższego komentarza czy odpowiedzi, dopóki nie przystanęli w zacisznym, słabo oświetlonym kącie pod nie zasłoniętym oknem. Nie widać było przez nie nic prócz wody; Atlantyk nocą, w górze zaś księżyc w pełni wysoko nad zwalem chmur, torujący srebrzy-

ste szlaki w dal niesłychanie tajemniczą, na granicy dwóch światów. Tu rozegrała się jakoby następująca scenka:

— Czyż to okno, zaprojektowane osobiście przez mojego ojca, nie jest dobrym świadectwem jego smaku? — zagadnęła młoda gospodyni, gdy tak stała, sama migotliwa niczym sen o pięknie, zapatrzona w światło księżyca.

Coll Dhu nie odpowiedział; podobno jednak nagle poprosił ją o jedną z róż z bukietu przypiętego do koronki na piersi.

Po raz drugi tego wieczora oczy Evleen Blake rozbłysły wcale nie łagodnym blaskiem. Lecz ten człowiek ocalił życie jej ojca. Odłamała kwiat i z takim wdziękiem, choć i z taką królewską godnością, na jaką umiała się zdobyć, wręczyła go gościowi. On chwycił nie tylko różę, ale i wyciągniętą z nią rękę, którą pośpiesznie obsypał pocałunkami.

Wtedy wybuchnęła gniewem.

— Jeśli pan jest dżentelmenem, mój panie — zawołała — to musi pan być szalony! Jeśli pan nie jest szalony, to nie jest pan dżentelmenem!

— Okaż mi litość, pani — odrzekł Coll Dhu. — Kocham panią. Mój Boże, nigdy jeszcze nie kochałem kobiety! Och! — wykrzyknął, gdyż na jej twarzy zagościł wyraz obrzydzenia. — Pani mnie nienawidzi. Zadrżała pani, kiedy nasze oczy po raz pierwszy się spotkały. Ja panią kocham, a pani mnie nienawidzi!

— Istotnie — odparła Evleen z żarem, zapominając o wszystkim prócz oburzenia. — Pańska obecność ma w sobie coś złego. Pan mnie kocha? Pańskie spojrzenie zatruwa. Zaklinam, niech pan więcej tak do mnie nie mówi.

— Nie będę się już narzucał — powiedział Coll Dhu. I podszedłszy do okna położył jedną potężną łapę na ramie, po czym wyskoczył i zniknął pannie z oczu.

Tak jak stał, z gołą głową, ruszył w góry, ale nie do własnego domu. Powiadano, że do końca tej ciemnej nocy przemierzał górskie labirynty, dopóki świt nie powiał rześkim wiatrem i nie przepędził chmur. Zgłodniały i utrudzony, bo od zeszłego rana był wciąż na nogach, z radością ujrzał na swej drodze chatę. Wstąpił, by poprosić o wodę do picia i jakiś kąs, gdzie mógłby odpocząć.

W domu czuвано przy zwłokach i w kuchni tłoczyli się ludzie znużeni nocną bezsennością; starzy mężczyźni zadrzemali nad swymi fajkami przy kominie, a tu i ówdzie jakaś kobieta spała mocno z głową na kolanie sąsiadki. Ci, co byli rozbudzeni, przeżegnali się na widok stojącego w drzwiach Colla Dhu, bo nie cieszył się dobrą sławą; mimo to ktoś ze starszych domowników zaprosił go do środka, poczęstował mlekiem i obiecał podać za chwilę pieczonego kartofla, a następnie zaprowadził do izdebki przy kuchni; w jednym jej końcu na podłodze rozesłano wrzosy, a przy ogniu siedziały plotkując tylko dwie kobiety.

— Podróżny — rzekł starzec skinąwszy im głową, na co one kiwnęły potakująco, jakby mówiły „podróżny ma prawo”. I Coll Dhu rzucił się na wrzosy w najdalszym kącie wąskiej izby.

Kobiety na chwilę ucichły, niebawem jednak, sądząc, że intruz już zasnął, podjęły rozmowę głosem donośniejszym od szeptu. Przez małe okienko sączył się szary brzask, lecz Coll widział ich sylwetki w świetle ognia, nad którym się pochylały: starucha, wysunięta do przodu, wyciągała pomarszczone dłonie do żaru, dziewczyna zaś, o czerstwej twarzy, żywych oczach i w szkarłatnej sukience rozpalającej się w migotliwych blaskach ognia, opierała się o kominiek.

— Pewnie, że wiem — mówiła — ale to najdziwniejsze małżeństwo, o jakim w życiu słyszałam. No bo nie minęły i trzy tygodnie, a on już wygadywał na prawo i lewo, że nie cierpi jej jak trucizny!

— Pst, skarbie! — uciszyła ją starucha z tajemniczą miną. — To prawda i wszyscy o tym wiemy. Ale nie miał innej rady, nieborak! Zawiesiła mu przecież skórkę!

— Co takiego? — spytała dziewczyna.



— Trupią skórkę, serdeńko! To znak śmierci, moja maleńka; i przywiązała go teraz do siebie na swoje nieszczęście!

Starucha zakołysała się i chowając twarz w fałdach płaszcza zdławiła irlandzki okrzyk wyrrywający się z pomarszczonych warg.

— Ale co to takiego? — dopytywała niecierpliwie dziewczyna. — Co to za skórka i skąd ją wytrzasnęła?

— Oho, to nie dla twoich młodych uszu, ale mów szeptem, gołąbeczko! To pasek skóry z nieboszczyka, ściągnięty od czubka głowy do pięty, bez pęknięcia czy naddarcia, bo inaczej czar przestaje działać; ten, kto chce być kochany, zawiesza tę zwiniętą skórkę na sznurku na szyi tego, kto jest oziębły. No i murowanie w sercach ich zapala się płomień, mocny i gorący, zanim jedna upłynie doba.

Dziewczyna się ożywiła i popatrzyła na swą towarzyszkę oczyma rozszerzonymi przerażeniem.

— Zbawco miłosierny! — wykrzyknęła. — Nie znajdzie się chyba na całym świecie nikt, kto by ściągnął na siebie karę niebios takim strasznym występkiem.

— A jakże! Jest ktoś taki, kto to robi, i wcale nie diabeł. Czyżbyś, serdeńko, nigdy nie słyszała o Pexie na Pishrogie, która mieszka między dwoma wzgórzami w Maam Turk?

— Rzeczywiście słyszałam — odparła dziewczyna słuchająca z zapartym tchem.

— No więc ona sama to robi. Zawsze gotowa jest zrobić to za pieniądze. Owszem, przegnali ją z cmentarza w Salruck, gdzie wygrzebywała nieboszczyków. I chwała Bogu! Byliby ją zatłukli, ale zmyliła pościg, a później niczego nie mogli jej udowodnić.

— Ciii, mamó — szepnęła dziewczyna. — Podróżny wstaje, by ruszyć w dalszą drogę. Oj, nie wypoczął sobie, biedaczek!

Coll jednak miał dość wypoczynku. Wstał i przeszedł do kuchni, gdzie starzec kazał napiec ziemniaków i gorąco namawiał gościa, żeby się nimi częstował. Coll chętnie skorzystał z zaproszenia; posilony znów wyruszył w góry, właśnie kiedy wschodzące słońce błysnęło wśród wodospadów i przepędziło nocne mgły w doliny. O zachodzie tegoż dnia przemierza! pagórki Maam Turk, wpytując pasterzy o drogę do chatki niejakiej Pexie na Pishrogie.

W walącej się chatynce pośród brunatnego, odludnego wrzosowiska, od którego promienieście rozbiegały się w dal jakby przepłoszone wzgórza, odnalazł Pexie, wiedźmę o pożółkłej twarzy, przyodzianą w ciemnoczerwoną derkę, ze zwichrzonymi kosmykami sztywnych czarnych włosów sterczącymi spod pomarańczowej chusty zakutanej pod pomarszczoną brodą. Pochylała się nad garem ziół perkoczących na ogniu, a kiedy Coll Dhu przysłonił otwór drzwi, podniosła na niego złe oczy.

— Wasza miłość chce skórkę? — spytała, gdy wyjaśnił cel swej wizyty. — Tak, tak, ale pieniądze, zapłata dla Pexie. Trudno jest zdobyć skórkę.

— Zapłacę — rzekł Coll Dhu kładąc przed nią na ławie suwerena.

Czarownica rzuciła się na monetę i chichocząc obdarzyła przybysza spojrzeniem, od którego nawet on zadrzał.

— Wasza miłość to prawdziwy król i zasłużył na skórkę. Cha, cha, i dostanie ją od Pexie. Ale za mało pieniędzy. Więcej, więcej!

Wyciągnęła szponiastą dłoń, Coli zaś upuścił na nią drugiego suwerena. Wiedźmą wstrząsnęły jeszcze potworniejsze drgawki rozkoszy.

— Posłuchaj! — krzyknął Coli. — Dobrze ci zapłaciłem, ale jeśli twój piekielny czar nie podziała, każę cię ścigać jako czarownicę!

— Nie podziała! — wrzasnęła Pexie przewracając oczami. — Jeśli czar Pexie nie podziała, wtedy wasza miłość tu wróci i uniesie tę górę na grzbiecie. A juźci, podziała. Choćby dziewczę nienawidziło waszej miłości jak czarta starego, pokocha go jak własną niewinną duszyczkę, nim słońce zajdzie lub wstanie. To albo — tu chytrze łypnęła okiem — śliczna dziewczeczka oszaleje przed upływem godziny.

— Wiedzmo z piekła rodem — rzekł Coll Dhu — to ostatnie sama zmyśliłaś. Ja nic o szaleństwie nie słyszałem. Jeśli chcesz więcej pieniędzy, gadaj szczerze, ale nie płataj mi swych wstrętnych sztuczek.

Czarownica nie spuszczała z niego przebiegłych oczu i natychmiast pojęła, jak wielką pała namiętnością.

— Zgadłeś, wasza miłość — przyznała z wymuszonym uśmiechem. — Biedna Pexie chce jeszcze tylko trochę więcej pieniędzy.

Znów wyciągnęła suchą dłoń. Coll Dhu wzdragał się jej dotknąć, więc rzucił złoto na stół.

— Król, król! — chichotała Pexie. — Wasza miłość to wielki król. Wasza miłość zasłużyła na skórkę. Śliczna dziewczeczka pokocha waszą miłość jak własną niewinną duszyczkę. Cha, cha!

— Kiedy ją dostanę? — niecierpliwie zapytał Coll Dhu.

— Wasza miłość przyjdzie do Pexie nie zaraz, za dwanaście dni, bo skórkę trudno jest dostać. Cmentarz na odludziu leży daleko stąd, a nieboszczyka niełatwo wygrzebać...

— Milcz! — rozkazał Coll Dhu — ani słowa więcej. Wezmę twój obmierzły czar miłosny, ale nie chcę wiedzieć, co to takiego i skąd go bierzesz.

Po czym, obiecawszy wrócić za dni dwanaście, ruszył w drogę. Już z pewnej odległości popatrzył za siebie ponad wrzosowiskiem. Pexie śledziła go stojąc na swoim czarnym wzgórzu, zarysowana na tle trupiej poświaty przedświt, jawiąc się jego ponurej wyobraźni niczym megiera, za którą czai się całe piekło.

O wyznaczonym czasie Coll Dhu dostał przyobiecany czar miłosny. Wraz z wonnościami zaszył go w saszetkę ze złotogłowiu i zawiesił na łańcuszku misternej roboty. W szkatułce, która ongiś zawierała klejnoty jego nieszczęsnej matki, wyglądało to na dość ładną błyskotkę. A tymczasem mieszkańcy gór klęli siedząc przy ogniu w swych chatach, bo znów ktoś zbezczeszczył ich cmentarz, i znów się skrzykiwali, by schwytać przestępcę.

Upłynęły dwa tygodnie. Jak i gdzie mógłby Coll Dhu znaleźć okazję do zawieszenia saszetki na szyi dumnej pułkownikówny? Jeszcze więcej złota kapnęło do chciwej łapy Pexie i wtedy dopiero obiecała mu pomóc.

Nazajutrz rano czarownica oblokła się w przyzwoity przyodziewek, kosmyki włosów skryła pod śnieżnym czepkiem, wygładziła złe zmarszczki na twarzy, zamknęła drzwi swej walącej się chaty i z koszykiem na ramieniu zeszła ze wzgórz. Zarzuciła na pozór swój niecny proceder, przedzierzgnawszy się w prostą grzybiarkę. Gospodyni z szarego domu codziennie kupowała od biednej Muireade grzyby. I codziennie Muireade zostawiała bukiet polnych kwiatów dla panny Evleen Blake. „Niech jej Bóg błogosławi! Nie widziałam jeszcze tej kochanej panienki, choć tak bym pragnęła, bo na tyle mił w krąg ludzie gadają, jaka jest śliczna!” No i wreszcie pewnego ranka spotyka pannę Evleen we własnej osobie, powracającą z samotnej przechadzki. Na jej widok biedna Muireade „ośmiela się” osobiście ofiarować kwiaty.

— Ach, czy to wy, babciu, co rano zostawiacie dla mnie kwiaty? — spytała Evleen. — Są przecudne.

Muireade dążyła do tego spotkania tylko po to, by spojrzeć na jej piękną twarzyczkę. Teraz, kiedy ją zobaczyła, promienną jak słońce, a niczym lilia uroczą, mogłaby zabrać swój koszyk i odejść zadowolona. Ociągała się jednak przez chwilę.

— Jaśnie panienka nigdy nie była na wysokiej górze? — spytała.

— Nie — odparła Evleen ze śmiechem; obawiała się, że nie zdołałaby sprostać wspinałce.

— No to jaśnie panienka powinna się wybrać, z innymi wielkimi damami i panami, pojechać na małych osiołkach w wysokie góry. Jakież tam można zobaczyć cuda!

Wzięła się do roboty i przez godzinę trzymała słuchaczkę jak zaczarowaną, opowiadając niesłychane rzeczy o tych podniebnych regionach.

Evleen zaś, patrząc na przysadziste szczyty, myślała zapewne, iż namowy tej szalonej staruchy nie są zupełnie pozbawione sensu. Świat tam w górze musi być wspaniały.

Tak czy siak, Coll Dhu posłyszał niebawem, że nazajutrz rusza z szarego domu wycieczka w góry; że jedną z uczestniczek będzie Evleen Blake; i że on, Coli, musi się przygotować na przyjęcie i ugoszczenie gromady strudzonych ludzi, którzy pod wieczór, głodni i osłabieni, staną na jego progu. Skromna dostawczyni grzybów, napotkana w czasie zbierania w którymś z zielonych zakątków wśród wzgórz, zaoferuje się być przewodniczką i poprowadzi towarzystwo hen daleko od drogi, będzie je wiodła w górę i w dół po najbardziej uciążliwych szlakach i niebezpiecznych ścieżkach; dla ułatwienia przeprawy poleci się służbie wyrzucić kosze z zapasami żywności.

Coll Dhu nie próżnował. Takiej jak on uczy nikt jeszcze nie wydał w równie podniebnych rejonach. Krążą pogłoski o wspaniałych potrawach przyrządzonych przez siły nieczyste w miejscu znacznie gorętszym, niż tego wymaga sztuka kulinarna. I jakoby puste komnaty w domu Colla Dhu przysłoniły się raptem aksamitnymi kotarami o złotych frędzlach, a białe, nie zdobione ściany rozblęły delikatnymi barwami pozłoty, jakoby bezcenne obrazy ukazały się oczom wśród boazerii, stoły zalśniły srebrną i złotą zastawą, najwyszukańsze zaś szkło strzeliło błyskami; popłynęły jakoby wina o nie znanym nikomu z gości smaku, a służący w bogatej liberii, wśród których pomarszczony staruszek niemal zupełnie ginął, pojawili się i stanęli gotowi wnosić wspaniałe dania o tak niezwykłej wonności, iż zleciały się orły, by stukać dziobami do okien, a lisy węsząc podchodziły pod ściany. Niewątpliwie o stosownej porze strudzeni wycieczkowicze zawitali do Czarnej Gospody, a Coll Dhu wyszedł na próg, by ich zaprosić do swojej samotni. Pułkownik Blake, któremu Evleen z dziewczęcej delikatności ani słowem nie wspomniała o dziwnym zachowaniu tego odludka, powitał go rad, całe zaś towarzystwo w wyśmienitych humorach zasiadło do uczy. I ponoć wielce się zdumiewało przepychem tej górskiej samotni.

Wszyscy weszli do środka z wyjątkiem Evleen Blake. Panna wciąż stała na progu, bo choć zmęczona, nie chciała tu odpoczywać, a chociaż głodna, nie chciała tu jeść. Biała batystowa suknia, marszczona w ramionach, wymięła się i zbrukała po przebytych trudach; różowe policzki delikatnie osmalilo słońce; ciemna główka o nieco potarganych warkoczach była obnażona, wystawiona na działanie górskiego powietrza i łuny zachodu; dłoń lekko oplatały wstążki kapelusza; stopa od czasu do czasu przytupywała o kamień progu. Taką widziano córkę pułkownika.

Wieśniacy opowiadają, że Coll Dhu wraz z jej ojcem wyszli ją prosić, aby zechciała wejść do domu, i że wspaniałe odziani służący przynieśli jej pokarm na próg; ona jednak nie ruszyła się krokiem, nie tknęła ani kruszyny.

Z szeptem: — Trucizna, trucizna! — garściami rzucała jedzenie lisom węszącym wśród wrzosów.

Wszystko jednak uległo przemianie, kiedy Muireade, poczciwa starowina, skromna grzybiarka, z twarzą gładką, bez żadnych złych zmarszczek, pojawiła się u boku zgłodniałej dziewczyny i przymilnie podsunęła zwykły gliniany talerz ze smakowitą papką z grzybów własnego zbioru.

— Ach, moja najmilsza panienko, biedna Muireade sama je gotowała i nikt w tym domu ich nie tknął, nie spojrzął na grzyby biednej Muireade.

Evleen wzięła talerz i zjadła przepyszną potrawę. Ledwie skończyła, ogarnięta nieprzepartą sennością, niezdolna ustać na nogach, przysiadła na progu. Z głową wspartą o framugę drzwi zapadła niebawem w głęboki sen lub w trans. W takim stanie ją znaleziono.

— Rozkapryszony, uparty dzieciak! — rzekł pułkownik kładąc dłoń na ślicznej uśpionej główce. Wziął córkę w ramiona i zaniósł do pokoju, który (jak powiadają gawędziarze)

był z rana pustą, nędzną klitką, teraz zaś olśniewał wschodnim przepychem. Tutaj ojciec ułożył ją na zbyt wysokiej kozetce, purpurową narzutą otulając jej nogi. I tutaj, w przyćmionym świetle przeciekającym przez wypukłe szybki, które pojawiły się na miejscu wczorajszej zwykłej chropawej szyby, po raz ostatni patrzył na jej śliczną twarz.

Pułkownik wrócił do gospodarza i swych przyjaciół, a po pewnym czasie całe towarzystwo wybrało się na dwór, by obejrzeć wzgórze skąpane w płomiennej poświacie groźnego zachodu. Uszli już spory kawałek drogi, gdy wtem Coll Dhu przypomniał sobie, że powinien wrócić po teleskop. Oddalił się na krótko. Na dość długo jednak, by zakraść się do tej roziskrzanej komnaty, zarzucić cienki łańcuszek na szyję uspiętej dziewczyny i wsunąć w fałdy jej sukni lśniącą saszetkę z obmierzłą zawartością.

Kiedy odszedł ponownie, Pexie na palcach przydreptała do drzwi i uchyliwszy je nieco, usiadła na słomiance przed progiem, otulona w swój płaszcz. Upłynęła godzina, a Evleen Blake wciąż spała, oddychając tak lekko, że mordercza błyskotka na jej piersi ledwie się poruszała. Potem zaczęła mamrotać i jęczeć, Pexie zaś nastawiła ucha. Jakiś odgłos dobiegający z pokoju wskazał, że ofiara już nie śpi i wstała. Pexie przyłgnęła twarzą do szpary w drzwiach, a zajrzawszy do środka zawyła przerażona, po czym wymknęła się z domu i na zawsze znikła z tych stron.

Światło w górach przygasało powoli, więc wycieczkowicze zawrócili do Czarnej Gospody, gdzie gromadka pań, które znacznie wyprzedziły resztę towarzystwa, natknęła się na Evleen Blake. Dziewczyna szła ku nim po wrzosach, z włosami w nieładzie, jakby tylko co otrząsnęła się ze snu, i z odkrytą głową. Zauważyły coś lśniącego jak złoto, co poruszało się i błyskało w rytm kroków. Pożartowały sobie trochę z Evleen, która wołała zasnąć na progu niż zjeść z nimi obiad, i zbliżyły się roześmiane, gotowe jej podokuczać. Ona jednak popatrzyła na nie dziwnym wzrokiem, jakby ich nie znała, i poszła przed siebie. Lekko dotknięte przyjaciółki wymieniły uwagi na temat ekscentryczności jej zachowania; tylko jedna popatrzyła jej śladem i naraziła się na śmiech towarzyszek tą oznaką niepokoju o samowolną młodą damę.

Tak więc zmierzały dalej w obranym kierunku, a samotna postać z trzepotem sunęła przed siebie w zrumienionej białej sukni, z fatalną saszetką pobłyskującą odblaskami nieba. Zając przebiegł pannie drogę, a ona zaśmiała się głośno i klaszcząc w dłonie skoczyła za nim. Potem przystanęła. zaczęła wypytывать o coś kamienie i uderzać je otwartą dłonią, bo nie chciały mówić. (Zdumiony pastuszek, siedzący za skalnym występem, był świadkiem tej dziwnej sceny). Później jęła nawoływać ptaki, dzikim, piskliwym głosem budząc echa po drodze. Kilku panów, którzy wracali niebezpieczną ścieżką, przystanęło, by posłuchać tego niezwykłego dźwięku.

— Co to takiego? — zapytał jeden.

— Młody orzeł — odparł Coll Dhu z posiniałą z wściekłości twarzą. — One często wydają taki krzyk.

— To mi wyraźnie przypomina głos kobiety! — zabrzmiała odpowiedź i natychmiast od skał w górze dobiegła ich nowa szalona nuta: doleciała z nagiego, poszczerbionego jak piła grzbietu, który nieco dalej opadał w dół, jednym wygłodniałym zębem zwisając nad przepaścią. W parę chwil później ujrzeli wiotką postać Evleen Blake z trzepotem nadlatującą ku temu cypłowi.

— Moja Evleen! — wykrzyknął pułkownik rozpoznawszy córkę. — Musi być szalona, że się odważa biec w takie miejsce!

— Szalona! — powtórzył Coll Dhu i pomknął na ratunek z całą rącością i zwinnością, na jaką pozwalały mu potężne nogi.

Kiedy się do niej zbliżył, Evleen już prawie dotarła na skraj groźnej skały. Podbiegł bardzo ostrożnie, zamierzając chwycić ją w silne ramiona, zanim go spostrzeże, i unieść daleko od niebezpiecznej skalnej półki. Ale w krytycznym momencie Evleen odwróciła głowę i zobaczyła nadbiegającego. Z ust jej wyrwał się jeden dziki, donośny okrzyk nienawiści i przera-

żenia, który spłoszył nawet orły i posłał w rozsypkę stadko kulików krążące nad jej głową. Krok do tyłu przywiódł ją na samą krawędź śmierci.

Jeden desperacki, choć ostrożny krok Colla i już szamotała się w jego uścisku. Jedno spojrzenie w jej oczy i już wiedział, że się zмага z kobietą szaloną. Ciągnęła go do tyłu, do tyłu, a on nie miał się czego uchwycić. Skała była oślizła i stopy w trzewikach nie mogły się na niej utrzymać. W tył, w tył! Chrapliwy oddech, straszne kołysanie do tyłu i przodu, po czym skała błysnęła nagością na tle nieba, znikli z niej Coll Dhu wraz z Evleen Blake i pogruchotani legli gdzieś w dole.

*Przełożyła Zofia Zinserling*

## SPIS TREŚCI

Mrs Gaskell — Opowieść starej niani <i>(The Old Nurse's Story)</i>	02
Joseph Sheridan Le Fanu — Duch pani Crowl <i>(Madam Crowl's Ghost)</i>	13
E. K. Benson — Jak z długiej galerii zniknął strach <i>(How Fear Departed from the Long Gallery)</i>	22
R. K. Howard — Nie kop mi grobu <i>(Dig me no Grave)</i>	30
Rosa Mulholland — Nie czytać o zmierzchu! <i>(Not to be Taken at Bed-Time)</i>	37